

Ks. ANTONI LANGER SI

**KARDYNAŁ JAN CHRZCICIEL
FRANZELIN,
I JEGO ZNACZENIE W KATOLICKIEJ NAUCE**



KRAKÓW 2016

www.ultramontes.pl

SPIS TREŚCI

	Str.
CZEŚĆ PIERWSZA. Krótki rys życia kardynała Franzelina	3
CZEŚĆ DRUGA. Działalność kardynała Franzelina i jego znaczenie na polu umiejętności teologicznej	22



KARDYNAŁ JAN CHRZCICIEL FRANZELIN, I JEGO ZNACZENIE W KATOLICKIEJ NAUCE

Ks. ANTONI LANGER SI

Z radością czynię zadość życzeniu Redakcji *Przeglądu* w skreśleniu wspomnień o ś. p. kardynale Franzelinie; ta skromna praca będzie zarazem hołdem wdzięczności złożonym przez przywiązanego ucznia nieodżałowanemu swemu nauczycielowi. Szczupłość miejsca, jakie mi tu wolno zająć, i brak tych szczegółów i dokumentów, jakich dziś potrzebuje biograf, pozwalają mi tylko krótki nakreślić szkic życia i działalności Kardynała, mimo to jednak pochlebiam sobie, że w tych ciasnych rozmiarach zdołam przedstawić jak najwierniejszy obraz nie tylko uczonego, ale i świątobliwego męża, jako też jego znaczenie na polu umiejętności katolickiej.

I.

Aldein, małe górskie miasteczko w południowym Tyrolu, między Botzen a Trydentem, było miejscem urodzenia Franzelina. Urodził się dnia 15 kwietnia 1816 r. i był drugim z kolei dziećciem, po którym czworo jeszcze przyszło na świat. Rodzice jego, Peregrinus i Anna z Wieser'ów Franzelinowie byli to pobożni i zacni ludzie; lecz całe ich bogactwo ziemskie ograniczało się na maleńkiej miejskiej realności, wystarczającej jednak zupełnie na opędzenie niezbędnych, a skromnych ich potrzeb. Z lat jego dzieciennych wspomnieć należy o wypadku, którego ślady fizyczne tj. broda nieco skrzywiona i głowa cokolwiek ku prawej stronie pochylona pozostały mu na całe życie. Zdarzyło się, że rozjuszony byk chwycił dziecko na rogi i wyrzucił wysoko w górę, przy czym spadając mały Jaś okrutnie się okaleczył.

Pierwsze nauki odbył Franzelin w gimnazjum OO. Franciszkanów w Botzen i tam już niepospolitymi zdolnościami połączonymi z nadzwyczajną pilnością okazał, jak daleko może kiedyś zająć. Stroniąc od zabaw i rozrywek rówieśników, zatopiony ustawicznie w ukochanych księgach, czynił młodziutki Jan zadziwiające postępy w naukach; tak dalece, że już w trzeciej klasie gimnazjalnej czytał z łatwością i przyjemnością Liwiusza. Poważne te zajęcia,

którym się całą duszą oddawał, nacechowały młodą jego twarzyczkę wyrazem przedwczesnej powagi i surowości tak, iż nauczyciele i koledzy nazwali go z tego powodu: "Janem Lwie-czoło"; to jednak nie przeszkadzało mu bynajmniej, wielką uprzejmością i usłużnością jednać sobie serca wszystkich. Nie była to wcale ta powaga, co z dumy i lekceważenia innych wypływa, ale ta, która wynika z brania na serio życia i nauki, i łączy się z pokorą. Był też głęboko przejęty duchem prawdziwej pobożności, którą podsyczał częstą modlitwą i przystępowaniem co tydzień do św. Sakramentów, a zachowywał ją i bronił życiem nieskalanym. O. Patiss T. J., serdeczny jego przyjaciel z czasów szkolnych, w dwóch słowach streszcza całe życie jego w Botzen: "uczył się i modlił".

Zbliżył się nareszcie czas ukończenia nauk gimnazjalnych – należało pomyśleć o obraniu sobie jakiego zawodu. Wuj jego, baron Andrzej Alojzy Dipauli v. Treuheim, rzeczywisty, tajny radca dworu, człowiek wpływowy, ofiarował mu u siebie gościnę i dał możliwość uczęszczania na wydział filozoficzny i prawny w Inzbruku. Świetne mu się teraz otwierały widoki przyszłej kariery, które też niemałe wywierały wrażenie na serce i umysł Franzelina, tak zapalonego do nauk, lecz z drugiej strony młodzieniec czuł nieprzeparty pociąg do zakonu OO. Jezuitów, których jednak znał tylko z książek. Spowiednik jego, O. Gabriel Sprenger Franciszkanin – który miał być jego doradcą w powzięciu ostatecznego postanowienia, sam wahał się i nie wiedział co radzić. Żyła natenczas w Kältern, małym miasteczku niedaleko Botzen, bardzo świątobliwa dziewczyna, słynąca wielu nadzwyczajnymi łaskami Boskimi, nazwiskiem Katarzyna Moerl. Spowiednikiem jej był O. Sojer, także Franciszkanin i przyjaciel O. Sprenger'a. Do niej więc udali się ci Ojcowie, by prosiła Boga o oświecenie, jaki zawód ma sobie obrać Franzelin. Odpowiedź była krótka i stanowcza: "Wstąpić do zakonu Jezuitów".

Franzelin wziął tę odpowiedź za głos Boży, i wyrzekłszy się wszelkich nadziei ziemskiej wielkości i znaczenia, do których mu jego wyjątkowe zdolności dawały niezaprzeczone prawo, wstąpił razem z swym przyjacielem, Jerzym Patiss, dnia 27 lipca 1834 r. do nowicjatu w Gracu. A był to właśnie nowicjat prowincji zakonnej galicyjsko-austriackiej – która później na dwie odrębne została podzielona. Z tym samym szlachetnym zapalem, z tą samą niestrudzoną energią, z jaką dotąd oddawał się naukom, zabrał się młody nowicjusz do pracy nad wykształceniem swego życia nadprzyrodzonego, nad nabyciem doskonałości moralnej. Reguły zakonne wskazywały mu drogę, a w

wypełnianiu ich, jak świadczą zapiski jego przełożonych, był rzadkim dla wszystkich wzorem: *omnibus raro proluxit exemplo*. Surowość dla swego ciała i ducha pokuty posuwał tak daleko, iż przełożeni zmuszeni byli nakazać mu umiarkowanie w tym względzie. Wyrzeczenie się zupełne wszystkiego, czego człowiek wskutek naturalnych swych i wrodzonych żądz pragnie, było zasadą jego życia. W notatkach z czasu swoich rekolekcji miesięcznych (w r. 1835) mówi: "Wyrzekam się od tej chwili na zawsze świata i nie chcę brać udziału we wszystkich jego pociechach, a czynię to w obecności Boga mego, w Trójcy Świętej jedynej, który mię stworzył, w obecności Najświętszej Panny Maryi, Anioła Stróża, świętego Ignacego, Ojca naszego i wszystkich moich świętych Patronów".

W jaki zaś sposób zamierzał połączyć cnotę z nauką, mówi w tejże samej zapisce: "Cnota jest duszą wiedzy, nauka bez cnoty jest trupem. Dobra jest wiedza i potrzebne są talenta, lecz cnota lepsza od nich. Najwyższa pochwała, jaką można dać Jezuitcie, to: że jest zarówno gruntownie uczonym, jak i cnotliwym. Umiejętność bez miłości Boga nadyma nas tylko jak puste pęcherze. Miłość Boga bez nauki pożyteczna jest wprawdzie, lecz sobie – nie bliźniemu". Zasady te były fundamentem, na którym wznosiła się budowa całego jego życia duchowego, a że nie były to czcze frazesy, o tym świadczy całe jego życie późniejsze, aż do ostatniego tchnienia.

Po ukończeniu nowicjatu wysłano go do Tarnopola na studia filozoficzne, gdzie też równocześnie uczył się filologii i języka polskiego. Po dwóch latach został tamże tzw. magistrem czyli nauczycielem niższych klas, (gimnazjum Tarnopolskie należało wówczas do OO. Jezuitów). Na tym stanowisku spędził lat sześć tj. trzy w Tarnopolu – a drugie trzy we Lwowie w konwiktie szlacheckim. Przez ten czas przyswoił sobie i polubił nie tylko polski język, ale też polską ziemię i ludzi, a przywiązanie to przechowało się w jego sercu i w późniejsze lata; losy kraju naszego zawsze żywo go obchodziły. Jako profesor teologii w Rzymie okazywał zawsze serdeczną opiekę ojca i przyjaciela Polakom; uczniowie jego ks. Wojciech Morawski i ks. Julian Feliński doznawali szczególniejszych jego względów. Również i jako kardynał nie zapominał o Polsce, i przy każdej nadarzonej sposobności starał się czynem i wpływem swoim pamięć tę okazywać.

Nadszedł wreszcie czas rozpoczęcia studiów teologicznych. W roku 1845 udał się do Rzymu – do *Collegium Romanum*, w którym podówczas wykładali profesorowie znani całej Europie. Karol Passaglia i Jan Perrone wykładali

teologię dogmatyczną. Obaj wywarli stanowczy wpływ na przyszły kierunek naukowy Franzelina. Dziecięca prostota i głęboka pokora Perrone'go była żywym i świetnym dowodem, iż "cnota jest duszą wiedzy", a pobożność i pokora sprowadzają błogosławieństwo Boże na trudy naukowe. Toteż Franzelin osiągnął tę wiedzę, która "nie nadyma". Z drugiej znów strony Passaglia skierował studia jego na tory, którymi aż do końca w teologicznych swych pracach postępował. Passaglia odznaczał się głęboką znajomością Pisma św. i Ojców Kościoła i był zarazem teologiem na wskroś pozytywnym. Ojcowie i Pismo św. były to źródła, z których nie tylko dowodził istnienia poszczególnych dogmatów, lecz także i ich rozumienie wyłącznie czerpał; scholastyczne rozumowania i spekulacje były dlań rzeczą podrzędną, na których nieraz ostrzył swój sarkastyczny dowcip; Franzelin nauczył się od Passaglii znakomicie wyszukiwać dla nauki Pismo św. i Ojców, lecz zarazem potrafił się ustrzec owej ironii względem scholastyki, z której jak ze złotodajnej kopalni wydobywał bogate skarby, albo raczej narzędzia do głębszego i wszechstronniejszego poznania dogmatów. Nie było żadnej gałęzi nauk teologicznych, w którą by nie włożył wielkiej części niestrudzonej swej pracy. Pismo św., starożytne języki wschodnio-kościelne, historię Kościoła i historię dogmatów – wszystko to znał doskonale, ale podporządkowywał pod jeden główny przedmiot, i ku niemu zawsze kierował, a celem tym była nauka wiary czyli teologia dogmatyczna. Toteż nic dziwnego, że wobec tego pożerającego zapału, z jakim się tym pracom oddawał, zdrowie jego ucierpieć musiało.

Już w nowicjacie, wskutek zbytecznego wytężenia umysłowego, miewał niekiedy wybuchy krwi, które go tak osłabiły, że zupełnie zwątpiono o jego zdrowiu i, by przynajmniej ostatki gasnących sił ocalić, myślano już o wypuszczeniu go z zakonu. Było to prawie cudem, iż człowiek tak wątłego zdrowia, był w stanie ponosić trudy zawodu nauczycielskiego przez lat tyle, a to tym więcej, że tak silnym głosem wykładał, iż nie tylko liczni słuchacze każde słowo doskonale rozumieli, lecz gdy go zapał unosił, to literalnie szyby drżały w ogromnej sali Kolegium rzymskiego. Sam powiedział, zaczynając 70-ty rok życia, iż nigdy nie przypuszczał, by mógł dożyć tak późnego wieku. A trzeba i na to zwrócić uwagę, że nigdy się nie oszczędzał, owszem, dla siebie samego nie miał żadnych względów, gardził stanowczo wszelkimi wygodami i pracował ciągle, wytrwale, z żelazną prawdziwie energią. Dlatego też nie lubił, gdy mówiono o stanie jego zdrowia i litowano się nad nim. Kończył szybko taką rozmowę słowami: "To nic, za kilka dni będzie wszystko dobrze". W czasie jednej takiej choroby, polecił mu lekarz wstrzymać się od wszelkiej natężającej

pracy, pozwalając na krótkie tylko łatwe i przyjemne czytanie. Nazajutrz zastaje go z hebrajską Biblią w ręku. "Tak to Książdz wypełniasz moje polecenie?" mówi niekontent. "Tak jest, panie Konsyliarzu – bo nie znam nic łatwiejszego i przyjemniejszego nad tę książkę"!

Lecz wróćmy do ciągu historii. Nadzwyczajny zapał do nauk w czasie studiów teologicznych nie opuszczał go nawet w godzinie rekreacji poobiedniej i wieczornej. Zwykle przygotowywał na ten czas jakie teologiczne zagadnienie, albo jakąś kwestię z historii kościelnej lub powszechnej i starał się zwrócić na nią rozmowę kolegów, ciesząc się serdecznie, gdy z tego powodu wywiązywała się żywa, ogólna dysputa. Nieraz ścierano się wtedy nie na żarty. Tej młodzieży nieskażonych obyczajów nie mogło zbywać na szlachetnym ogniu w szukaniu i bronieniu prawdy. Włosi zwłaszcza łatwo się zapalali, ale i Franzelin nie był wcale zimnym, ani flegmatycznym. Uczone ciosy, które sobie zadawali na tych duchowych turniejach, a w których Franzelin szczególnie się odznaczał – miały jednak tę niezrównaną zaletę, że nie raniły i nie obrażały nikogo, lecz tylko pobudzały do coraz większego zapału w badaniach naukowych.

Wśród tych zajęć nadszedł rok 1848, rok ogólnych wstrząśnień, burz i przewrotów, którym z kolei uległ też i Rzym. Pierwszą ich ofiarą padło *Collegium Romanum*. Przy odgłosie dzikich wrzasków podburzonego motłochu: *abasso* i *Gesuiti* odbyły się ostatnie wykłady dnia 29 marca, a 30 nastąpił wyjazd wszystkich kleryków zakonnych i ich profesorów. Lord Clifford ofiarował im przytułek w swym zamku w Ugbrook w Devonshire (w Anglii). Franzelin wybierając się w drogę pobudził wszystkich do homerycznego śmiechu; ukazał się w stroju podróżnym – ze sterczącymi ze wszystkich kieszeni książkami i rzekł: "no, jużem gotów w drogę". Wyjazd jednak nie poszedł tak gładko, jak się spodziewano. Franzelin z O. Patrizim i Piancianim mieli jechać przez bramę *del Popolo*. Tu zatrzymano ich powóz; nazwiska Patrizi'ego i Pianciani'ego były w przekonaniu dyżurnego oficera zbyt znakomite, by je można było przepuścić bez wyższych informacji. Wzięto ich tedy pod areszt policyjny, i upłynęło kilka dni, zanim mogli opuścić miasto.

Dalsze studia teologiczne prowadził Franzelin w Ugbrook a ukończył w Lovanium. Jeszcze jako słuchacz teologii, tak był znany ze swej nauki i zdolności, iż przełożeni postanowili przeznaczyć go na profesora.

Nauczycielski swój zawód rozpoczął w Vals we Francji (w r. 1849-1850); uczył tu egzegezy i języka hebrajskiego. W tym samym czasie tj. roku 1849 dnia

23 grudnia przyjął w sąsiednim mieście Le Puys święcenia kapłańskie, mając lat trzydzieści i trzy.

Tymczasem przy pomocy wojsk francuskich stłumiono rewolucję w Rzymie, a Jezuici mogli znów zająć niedawno opuszczone swe *Collegium Romanum*. W r. 1850 powrócił także i Franzelin do Rzymu. Powierzono mu tu ważny urząd prefekta studiów w kolegium Niemieckim, a przy tym, w kolegium Rzymskim uczył języka arabskiego, syryjskiego i chaldejskiego.

Gdy w r. 1857 O. Schrader wskutek starań arcybiskupa, kardynała Rauschera, został powołany do Wiednia, a O. Passaglia uwolniony od obowiązków, Franzelin objął jedną z zajmowanych przez nich katedr dogmatyki, na której zostawał przez lat 19, to jest aż do czasu swego wyniesienia na kardynała.

Widok tak licznych bo 200-300 słuchaczy, których ze wszystkich krajów całego świata wysyłano do kolegium Rzymskiego, by z tego ogniska wiary mogli czerpać katolicką wiedzę, przejął Franzelina prawdziwie apostołskim zapałem dla swego zawodu. Dlatego też starał się przede wszystkim o to, by nauka religii, którą ich karmił, nie była tylko powierzchowną, lecz aby wszyscy nabyli pełnej świadomości i głębokiego zrozumienia prawdy chrześcijańskiej. I istotnie, to przejęcie i niezachwiane przekonanie, jakie cechowały jego wykład, były już same przez się zdolne wzbudzić i utrwalić uczucie wiary w sercach uczniów, choć czasem nie dość rozwinięty ich umysł nie mógł na razie zrozumieć i ocenić całej trafności i siły jego dowodów. Ale jakże sumiennie przygotowywał się zawsze do tych wykładów! Poza czasem prelekcji zawsze można go było zastać w bibliotece przy wielkim i długim stole założonym różnymi pootwieranymi foliantami Ojców, egzegetów i teologów. Tu on od rana do nocy przesiadywał i studiował. We wszystkich prawie ważniejszych kwestiach teologicznych nie było żadnego Ojca Kościoła, którego by nie przeczytał, żadnego scholastyka z dawniejszych lub nowszych, u którego by nie szukał światła, i żadnego herezjarchy lub przeciwnika, którego by nie ściagał we wszystkich jego kryjówkach, i nie dosięgał i pobijał nieprzepartą swoją dialektyką. Jakże porywające były wtedy jego słowa, wyrażenia i porównania gdy chciał jasno i dobitnie wyłożyć pojęcie i prawdziwe znaczenie jakiego dogmatu! Nie było tam ani jednego niepotrzebnego słówka – wszystko, co z jego ust wychodziło, miało głębokie znaczenie i dzielność ku wyjaśnieniu nauki lub archeologii kościelnej.

Ale na nieszczęście znakomity ten przymiot nauczyciela stanowił niemałą trudność dla znacznej części jego uczniów. Niełatwo można go było zadowolić odpowiedzią. Młody kleryk nie zawsze był w stanie ocenić całej doniosłości jakiegoś słowa lub pochwycić ściśle jego znaczenie, i aby się nie wydawało, że się wyuczył na pamięć, przemieniał niekiedy wyrazy – a wtedy zdarzało się, że nowe wyrażenie zmieniało zupełnie sens i myśl odpowiedzi.

Ale nic go tak nie martwiło, jak gdy kto niewłaściwie lub tylko niedokładnie używał terminologii. Z drugiej znów strony nie mógł znieść, gdy się kto wyuczył dosłownie. Wykład jego musiał się stać własnością ucznia, nie własnością pamięci – lecz rozumu, miarą zaś zrozumienia było dla niego dokładne i właściwe wyrażanie się. Jak był wymagającym, to się szczególnie okazywało w publicznych i domowych tzw. cyrkułach. Odbywały się one, jak to jest zaprowadzone we wszystkich szkołach Jezuickich, w formie dysput. Jeden z uczniów objaśniał i udowadniał pewną wyznaczoną tezę, i musiał jej bronić wobec dwu innych, którzy byli obowiązani ją zbijać argumentami, na jakie się tylko zdobyć mogli. Dla obojdwóch stron nie było to wcale łatwą rzeczą przy Franzelinie. Ten, który miał objaśniać i bronić, musiał być przygotowanym, iż przy każdym prawie słowie dostanie poprawkę; już to, że dowód nie dosyć ścisły, już że objaśnienie niedostateczne, lub też, że słowa niedokładne i nietrafnie dobrane; a poprawkom tym towarzyszyły często wyraźne oznaki niezadowolenia – tak, że trzeba było się zdobywać na wielką cierpliwość i odwagę, by wysłuchać i wytrzymać spokojnie tak ostrą krytykę. Strona oponująca nie miała bynajmniej łatwiejszego zadania. Jeżeli argumenta wymierzone przeciw wyłożonej nauce nie odnosiły się do istotnych trudności, lub też jeżeli nie były dość stanowcze i dobitne, wtenczas niecierpliwie chodził tam i napowrót, wołając: *Quid jocaris! Non est locus et tempus jocandi!* (*). Jeżeli wtedy który z śmielszych odezwał się do niego: "Ależ Ojczy, nie gniewaj się na nas, czynimy co możemy, ale jako początkujący teologowie nie jesteśmy w stanie od razu, nawet pojąć wszystkiego do głębi, a cóż dopiero dobierać najściślejszych i najdokładniejszych wyrażen" – uśmiechał się zwykle i mówił: "Ależ ja się nie gniewam! tylko Panowie musicie się koniecznie starać, wnikać głębiej w te rzeczy, i przyzwyczajając się do większej ścisłości w wyborze słów. Ja zaś będę się starał być łagodniejszym". Dobrze te jednak postanowienia nie długo trwały. Przy najbliższej dyspucie milczał wprawdzie i dozwalał mówić obu stronom, ale gra muszkułów na twarzy, nerwowe ruchy palców, niespokojne poruszanie się na krześle – były najlepszym dowodem, jaką walkę toczył z sobą, by się zachować spokojnie; wreszcie przerywała się ta sztuczna

cierpliwość i jednym tchem wypowiadał wszystkie błędy i usterki, jakie zauważył od początku dysputy. Najwięcej do znoszenia miała od niego młodzież odznaczająca się większymi zdolnościami; bo podczas dysput uczniów mniej zdolnych siedział spokojnie z wyrazem świętej rezygnacji i poddawał się smutnej rzeczywistości. Być uczniem Franzelina – było i dla najzdolniejszych rzeczą niełatwą – ale za to można było nauczyć się myśleć ściśle, logicznie, i swe myśli akuratnie wyrażać. Surowość ta, a nieraz i oburzenie – nie była bynajmniej wynikiem gniewliwości lub złości na słuchacza, iż nie ocenia należycie jego nauk – wypływała ona jedynie z wielkiego przeświadczenia o ważności przedmiotu i z gorącej miłości tej prawdy objawionej, którą nam Chrystus przyniósł i zostawił.

Muszę tu zwrócić uwagę na jeden jeszcze punkt jego dydaktyki, odkrywający nową a wielką jej zaletę. Przejęty sam pięknnością i wzniosłością wiary, umiał też z prawdziwym zapałem malować ją i rozwijać przed słuchaczami, i przelewać ten święty ogień w ich dusze. To, co wykładał, nie było suchymi formułami, które wprawdzie przemawiają do rozumu, lecz nie rozgrzewają serca. Uczniów swych starał się przejmować miłością prawd chrześcijańskich – dlatego też wielu z nich wyznaje, że obecnie mają największą przyjemność, jeśli mogą objaśniać wiernym z ambony św. tajemnice wiary według wzniosłych poglądów ukochanego swego nauczyciela, i dzielić się z nimi nie tylko światłem odeń zaczerpniętym, lecz także owym ciepłem serdecznym, jakim ich zagrzewał. Kto go słyszał mówiącego i jakkolwiek rozumiał, ten przyzna, iż nie ma żadnej przesady w tym, co powiedział jeden z jego wielbicieli: "Iż sprawdził na sobie maksymę Korneliusza a Lapide, który mawiał, że nauczyciele prawd Boskich mają naśladować nie tylko Cherubinów, co do głębokiej znajomości tajemnic Bożych, lecz także i Serafinów w żarliwej miłości ku Bogu". I rzeczywiście, jego oczy błyszczące podczas wykładu dziwnym ogniem, nadludzki i uduchowniony cały wyraz twarzy, świadczyły, że nie tylko głową, ale w równej mierze uczył i sercem.

Takim był Franzelin jako nauczyciel. Sława jego profesorska rozeszła się wkrótce po Rzymie i doszła aż do najwyższych sfer. Toteż niebawem zaczęto mu poruczać inne jeszcze, a bardzo ważne czynności i urzędy. Najprzód został konsultorem do spraw kościoła Wschodniego w kongregacji *De propaganda fide*, do czego zdolnym go czyniła wielka znajomość języków wschodnich – następnie został kwalifikatorem św. Officjum, a gdy na tym urzędzie w krótkim czasie dał się poznać z jasności i gruntowności swych elaboratów, mianowano

go konsultorem tejże kongregacji. W pracach przygotowawczych do Soboru Watykańskiego, brał udział jako członek komisji dogmatycznej, a i na samym soborze zasiadał, jako teolog papieski. Po ukończeniu obrad soborowych został członkiem Kongregacji do nadzwyczajnych spraw kościelnych. Jak wielki ciężar, ważne te obowiązki dodały do jego nauczycielskiego brzemienia ten tylko może ocenić, komu wiadomo, jak wielkiej doniosłości są sprawy obrabiane i załatwiane w tych kongregacjach. Zadaniem teologa kongregacji jest, sprawy te zbadać wszechstronnie i jak najgruntowniej, a następnie na posiedzeniu kardynałów przedłożyć obszerny i dokładny referat; często referaty takowe czyta sam Ojciec św., by lepiej poznać stan rzeczy. Jeżeli się przy tym zważy, z jaką sumiennością i bezstronnością starał się przedstawiać fakty i ich skutki, z jaką troskliwością uważał, by przez zbyt pospieszny sąd lub ocenę, albo przez wyrażenie nie dość obmyślane, nie zaszkodzić, ani dobru Kościoła, ani osobom interesowanym – wtedy dopiero można mieć wyobrażenie o całym zakresie i ogromie działalności Franzelina. Wszystkie te jego prace leżą w archiwach właściwych kongregacji, i dlatego niepodobna nam było naocześnie sprawdzić, ile tam na tych zapyłonych półkach spoczywa wiedzy i pilności, ile godzin pracy i mokołu!

Do tych prac obowiązkowych przybywało mu jeszcze niemało zajęcia nadobowiązkowego, którego się podejmował ze względów przyjaźni i koleżeństwa. Nie tylko bracia jego zakonnicy, lecz także i inne osoby, aż do najwyższych dostojników kościelnych, udawały się do niego o zdanie lub poradę w różnych trudniejszych kwestiach. Przenikliwy i daleko sięgający jego pogląd, spokojny i mądry sąd, jakim się zawsze kierował, sprawiały – że wszyscy, którzy go się radzili, ufali bezwzględnie jego zdaniu, i całkowicie na nim polegali. Ks. Kleutgen nie napisał ani jednej stronicy uczonych swych rozpraw, której by pierwiej nie był poddał krytycznej ocenie Franzelina, który z gotową zawsze usłużnością starał się słowem lub pismem zadość czynić wszystkim tego rodzaju żądaniom.

Wszystkie te tak liczne obowiązki wypełniał Franzelin bez szemrania, nie przykrząc sobie nigdy, ani uskarżając. Wymagało tego posłuszeństwo, wymagała służba Kościoła – a to był dla niego dostateczny powód, by pracować do upadłego, bez żadnego względu na siebie. Czy może przy tylu rozlicznych zajęciach zaniedbywał nauczycielskie swe obowiązki? Ośm tomów uczonych dzieł jego świadczy najlepiej, że także jako profesor postępował zawsze naprzód. Obok tak różnorodnych zajęć, wychodziły teologiczne jego dzieła,

jedno po drugim – najprzód litografowane, a później po wielu przekreśleniach i poprawkach szły do druku. Każdy, kto tylko jest obeznany z nowoczesną literaturą teologiczną, może ocenić niezwykle ich zalety; dzieła te stanowią godne pendant do dzieł poprzedników jego na katedrze *Collegium Romanum*, tj. do dzieł Bellarminów, Suarezów, Vasquezów, Toledów itd.

Ale, czyż jeden człowiek był w stanie podolać temu wszystkiemu? Zapał dla sprawy Boga używał siłom jego dziwnej wytrzymałości i wytrwałości, oraz sprężystości, która sprawiała, że Franzelin nie cofał się nigdy przed żadną, choćby najżmudniejszą pracą. Przy tym umiał znakomicie korzystać z czasu. Chociaż zawsze liczył się z nim skrupulatnie, i nie zmarnował nigdy chwili – to jednak teraz tak go sobie skąpił, że nie chciał nawet godziny poświęcić wytchnieniu, i trzeba było uciekać się aż do posłuszeństwa, by go na pewien czas odciągnąć od pracy. Nie prosił nigdy o pozwolenie wyjścia na przechadzkę, tak iż O. Minister musiał posyłać do niego drugiego Ojca z poleceniem: "O. Minister kazał powiedzieć, by ksiądz poszedł ze mną na przechadzkę". Franzelin wstawał wtedy, kładł wszystko na bok i szedł się przejść. Podczas letnich wakacyj było w zwyczaju, że scholastycy udawali się na dwa tygodnie na wieś do willi w *Gallero* (na stokach gór Albańskich, między miasteczkami *Ariccia* i *Gonzaro*); – profesorowie brali także zazwyczaj udział w tej willegiaturze. Franzelin musiał także wyjeżdżać *volens nolens*, ale razem z nim wyruszała też znaczna część biblioteki na świeże powietrze – i większą część dnia spędzał nad stosem książek. W późniejszym jednak wieku zdołał wmówić w przełożonych swych, że może się śmiało obejść bez tego odpoczynku. Takim był Franzelin w wszechstronnej swej działalności.

Czy może wobec tej wyczerpującej pracy ucierpiała moralna strona życia jego? Czy nauka pochłonęła w nim zamiłowanie cnoty i pobożności? Przeciwnie, z cnót właśnie czerpał Franzelin siły do tego pracowitego żywota. Niewyczerpanym źródłem, z którego wypływał niezmordowany zapał dla sprawy Bożej i Kościoła, była podziwienią godna pokora jego. Przeświadczenie o swej nieudolności było dlań bodźcem do wytężania wszystkich sił, robił co tylko mógł, czego tylko od niego wymagano, byle tylko nie być nieużytecznym stworzeniem na świecie. Dlatego to w pracach jego naukowych widzimy coraz nowe studia nad jednym i tym samym przedmiotem, nigdy bowiem nie dowierzał sobie, czy rzecz jaką uchwycił z właściwej strony, czy ją wyczerpał należycie; dlatego też nie trzymał się uparcie raz powziętego zdania, lecz, jeżeli się przekonał, że zdanie to nie jest dość pewne, to nie wstydził się zaniechać go i

wytworzyć sobie inne. W pewnej dyspucie trzymał się jeden z jego uczniów *egzegezy* pewnego tekstu Pisma św., którą Franzelin wykladał w poprzednich latach. Na to odezwał się Franzelin: "Przed czterema laty powiedziałem to wprawdzie, ale od tego czasu zmieniłem zdanie". I by tę zmianę zdania umotywować dodał: "Za 4 lata można przecież uczynić pewien mały postęp". Gdy się dowiedział o swej nominacji na kardynała, skarżył się przed swym prowincjałem – O. Cardellą: "Inni mają różne zdolności i mogą być bardzo użyteczni, ale ja nie mam żadnych, co najwyżej potrafię jako tako uczyć". Gdy temuż samemu O. Cardelli oznajmił Pius IX, iż po śmierci kardynała Tarquini'ego chciałby któremu z Ojców tegoż towarzystwa dać kardynalski kapelus, wtedy wymienił Franzelina, "który tak piękne referaty do kongregacji pisze i jest tak pokorny". Zresztą i Pan Bóg w swej opatrności czuwał, by go nauka nie wbiła w pychę; a to przez skrupuły. Nie były to jednak wcale owe bezpodstawne obawy, których źródłem wyobraźnia, lecz zacięta walka z pokusami przeciwko wierze, co go szczególnie przy sprawowaniu śś. czynności dręczyło. Rozrzewniającym było patrzeć, jak odprawiał Mszę św. Na twarzy jego malowała się z jednej strony szczerą pobożność, lecz zarazem nerwowe, niespokojne ruchy świadczyły o ciężkiej wewnętrznej walce, jaką wtedy staczał. Im więcej jednak miał do znoszenia od natarczywej pokusy, tym ognistszym, tym więcej przekonywującym był wtedy jego wykład. Czuliśmy wtedy wszyscy, że to były zapasy z niewidzialnym przeciwnikiem, i umiejętne nacieranie, by mu broń z ręki wytrącić.

Widząc niezwykłą tę jego powagę na katedrze i wszędzie, gdzie tylko chodziło o naukę wiary – nikt by nie przypuścił, by mógł być naiwnym i wesołym, jak dziecko, a jednak widocznym to było w jego życiu codziennym. Przysłuchiwał się rozmowie zawsze uprzejmy i uśmiechnięty. Gdy szło o rzeczy obojętne, był małomówny, lecz gdy rozmowa wchodziła na ważne kwestie z zakresu historii, lub teologii, albo na bieżący stan rzeczy, stawał się wymownym, i z bogatej skarbnicy swej pamięci wydobywał istne klejnoty wiedzy, tak iż Ojcowie nazywali go "swoją chodzącą encyklopedią". Dziecięcą jego wesołość można było podziwiać głównie wtedy, gdy bywał na letnim mieszkaniu pośród swych uczniów. W większej gromadce młodzieży znajdzie się zawsze kilku, którzy szczerym i wesołym dowcipem umieją uprzyjemnić i ożywić rozmowę. Franzelin śmiał się w takim razie serdecznie. Często też zdarzało się, że jego własna osoba, tak zrosła z książkami i studiami, dostarczała materiału do takiej rozmowy, a czasem i dłuższej zabawy. I tak pewnego razu urządzono komiczną dysputę na temat: *rusticatio Franzeliniana*, na której z

wielką erudycją i powagą dowodzone *pro i contra*, czy willegiatura odbywana wśród stosu książek może nosić to miano, czy też jest to tylko *purum putumque ens rationis*. Innymi razy odbywał się tzw. cyrkuł czyli dysputa domowa, na której najzdolniejszy na aktora kleryk występował w roli prezydującego profesora, i wtenczas biedny Franzelin musiał się przypatrywać swemu własnemu, a bardzo wiernemu sobowtórowi ze wszystkimi minami, nerwowymi ruchami, a zwłaszcza z całym nudzeniem, dręczeniem swych uczniów! Nie było w tym jednak nic złośliwego lub bolesnego, wszystko to bowiem wypływało z miłości do uwielbianego profesora. Toteż Franzelin brał zawsze żywy udział w ogólnej wesołości i śmiał się nieraz do łez ze swego wizerunku, – lecz niestety, nic to nie wpływało na jego poprawę – i gdy przyszedł prawdziwy cyrkuł, dawał z siebie jeszcze lepsze, tylko już wcale nie komiczne przedstawienie. Przy takich i tym podobnych zabawach składał zupełnie swoją profesorską powagę i stawał się po prostu miłym kolegą swych uczniów, którzy też korzystając z tego, zarzucali go najrozmaitszymi pytaniami do rzeczy, i nie do rzeczy, a on na wszystkie odpowiadał zawsze z niewyczerpaną dobrocią i uprzejmością. Z tym brakiem wszelkiej zarozumiałości łączyła się u Franzelina niezwykła pobożność; obie te cnoty dopełniały się i podtrzymywały wzajemnie. Gdy się modlił – czy to przy Mszy św., czy też odmawiając Różaniec – to widać było po nim, że jest tym cały przejęty, całkowicie zjednoczony z Bogiem, zupełnie zapomniawszy o sobie. W poufnych zwierzeniach mawiał: "Trzeba się kontentować, że się służy Bogu według możliwości, a nawet czymś mniejszym".

Przy tak głębokiej pokorze nic dziwnego, że i posłuszeństwo, zaparcie samego siebie, duch ubóstwa i wyrzeczenie się przyjemności tego życia doszły w nim do wysokiego stopnia doskonałości.

Największą dlań przykrością było, gdy go odrywano od książek, gdy jednak tego życzył sobie jego przełożony, to bez wahania i bez najmniejszego znaku niezadowolenia wstawał natychmiast i szedł, gdzie go wzywano. Nie wymawiał się nigdy brakiem czasu, i dlatego punktualnie przychodził na wszystkie wspólne zebrania, przerywając najpilniejsze nawet zajęcia, aby tylko nigdy nie stanowić wyjątku; a to właśnie najlepiej świadczy o ciągłym jego zaparciu i panowaniu nad sobą. W swoim pokoju nie lubił nic zbytecznego: łóżko, stół, parę krzesłek, półki z kilku książkami – to było wszystko. W dzień pracował w bibliotece, wieczór zaś, ponieważ nie wolno było siedzieć w bibliotece przy lampie – brał do siebie książki, jakie mu były na razie potrzebne i odnosił je nazajutrz rano. Jak dalece był skrupulatnym w przestrzeganiu św.

ubóstwa, świadczy o tym następujące zdarzenie. W roku 1873 Rzymskie kolegium zostało zabrane przez piemonckich przywłaszczycieli, a Jezuici wypędzeni, jednakowoż każdemu pozwolono zabrać z sobą to, co miał w celi. Gdy więc do Franzelina wszedł urzędnik i zapytał: "Czy te rzeczy należą do Pana?" tenże pomnąc na ubóstwo, które nie dozwala posiadać nic na własność odrzekł: "Mam prawo używalności wszystkich tych rzeczy". Odpowiedź ta nie zadowoliła owego urzędnika, i dlatego powtórzył swoje pytanie po raz drugi i trzeci, ale innej odpowiedzi nie otrzymał, aż wreszcie jakiś wyższy urzędnik, który był świadkiem tej sceny zakończył ją mówiąc: "Przestańże już pan dręczyć tego biednego człowieka!".

Mimo to że Franzelin ukrywał się jak tylko mógł ze swoją nauką, zwrócił jednak na siebie uwagę Piusa IX i tak, że ten zaraz po śmierci kardynała Tarquini'ego powziął zamiar wynieść go na tę godność. Ponieważ jednak zakon Towarzystwo Jezusowe w ogóle i każdy jego członek w szczególności przez osobny ślub obowiązuje się nie przyjmować żadnych godności kościelnych, chyba pod grozą ciężkiego przestępstwa – przeto Ojciec św. zwlekał wykonanie tego projektu przez 2 lata, ale nareszcie kazał ówczesnemu generałowi zakonu, O. Piotrowi Beckx'owi, aby oznajmił Franzelinowi niezłomną wolę Papieża, iż ma zostać kardynałem. O. Generał otrzymawszy tę wiadomość pospieszył natychmiast do Rzymu i błagał Ojca św., by odstąpił od tego zamiaru, lecz na próżno – i trzeba było być posłusznym. Pius IX nie chciał się nawet zgodzić na krótką zwłokę. Franzelin bowiem pracował właśnie nad traktatem teologicznym *de Ecclesia*, do wykończenia którego potrzeba mu było jeszcze ze dwa lata pracy.

Kardynał Bilio, który najwięcej w tej sprawie był czynny, miał sobie poleczone obwieścić Franzelinowi wolę Ojca św. Gdy przybył do niego i po niejakiem wstępie powiedział: "Mój Ojcze! przyszedłem tu z umyślnym rozkazem Ojca św.; nakazuje On Ci, byś z *Collegium Germanicum* (tam bowiem mieszkał po wypędzeniu Jezuitów z kolegium Rzymskiego) przeniósł się do kolegium kardynałów" – Franzelin tak był tym zdumiony i przerażony, iż zdawało się, że zemdleje. "To być nie może, nigdy tego nie będzie!" – odpowiedział drżąc ze wzruszenia; potem wstał z krzesła i chodził po pokoju wzburzony do najwyższego stopnia, błagając Boga, by tego nie dopuścił. Wreszcie przemówił do niego kardynał: "Ależ Ojcze Franzelin, uspokój się, muszę wyznać, że mię nie bardzo budujesz! Spodziewałem się po Tobie, że chętnie spełnisz ten czyn posłuszeństwa. Ojciec św. każe, a zatem Waszej

Wielebności nie pozostaje nic innego, jak tylko słuchać!". Uspokoił się nieco, lecz wybuchnął długim, serdecznym płaczem. Tegoż samego dnia popołudniu zabrał go kard. Bilio ze sobą, by go przedstawić papieżowi. Franzelin rzucił mu się do nóg i zapewniał ze łzami, że nie może być kardynałem, że nie posiada po temu żadnych zdolności. Lecz Pius przerwał mu mowę słowami: "A jakież zdolności miał Piotr św.? umiał on tylko robić wiosłem!".

Wracając z Watykanu wstąpił do ks. rektora kolegium Niemieckiego i rozpaczliwym głosem zawołał: "Teraz już po mnie, zginąłem!" i powtarzał to z boleścią raz po raz. Rektor, nie wiedząc jeszcze co zaszło w Watykanie, chciał go pocieszać, lecz gdy to nie pomagało, rzekł w końcu: "Ależ mój drogi, co to ma znaczyć? Wstydz się tak mówić! Spełnij najprzód swój obowiązek, a potem dopiero myśl o śmierci!". Skarżył się też przed swoim prowincjałem na to nowe utrapienie, mówiąc: "A to prawdziwie kara Boża!". Nadzwyczajna ta trwożliwość pochodziła z wielce małego mniemania o sobie, był on przekonany, że nie jest zdolny do czegoś innego, jak do swoich wykładów, cyrkułów i dysput.

Było to w pierwszych dniach lutego. Franzelin wykladał jak zwykle w *Collegium Germanicum* milcząc o tym, co zaszło, jak gdyby chciał zapomnieć o przykrym śnie, smutek tylko jego zdradzał, iż mu się przytrafiło coś niezwykłego. Wreszcie rozeszła się wszędzie wieść, iż Franzelin został kardynałem. Dnia 14 marca miał mieć ostatni wykład. Wszyscy słuchacze oczekiwali z największą ciekawością, co też powie o tym swoim niespodziewanym wyniesieniu. Lecz Franzelin skończył wykład, nie uczyniwszy o tym najmniejszej wzmianki. Gdy odchodził słuchacze wyrazili swą radość przez huczne i przeciągłe oklaski – na to zbladł jak trup i cichym głosem wyrzekł kilka słów, które tylko niektórzy tuż przy nim stojący zrozumieli, po czym pobiegł co tchu do swego pokoju.

Nominacja jego została uchwalona na posiedzeniu konsystorza w dniu 3 kwietnia. W ostatnią sobotę pobytu swego w kolegium spełnił czyn prawdziwie chrześcijańskiej pokory, który wszystkich wzruszył i zbudował. Gdy odmówiono modlitwę po jedzeniu w refektarzu, ukląkł przed każdym z Ojców i alumnów i ucałował im nogi.

Ponieważ w *Collegium Germanicum* nie można było urządzić mieszkania dla przyszłego kardynała, przeto miał zamieszkać w kolegium Belgijskim na Kwirynale. Dzień i godzinę opuszczenia dotychczasowego swego mieszkania trzymał w głębokiej tajemnicy, bojąc się wszelkich owacyj. Lecz gdy 3-go rano

chciał Franzelin ujść w cichości z kilku Ojcami, zauważyli to alumni i pobiegli na dół, by mu w bramie przynajmniej wyrazić ostatnie swe podziękowanie i pożegnać go; cichym głosem odezwał się wtedy do nich, mówiąc, że zawsze starał się podawać im czystą naukę katolicką, następnie prosił, by mu przebaczyli, jeżeli był dla nich za surowy i zakończył upomnieniem: "Nie ubiegajcie się nigdy o wysokie godności kościelne; tylko droga idąca na dół jest pewną i równą". Tak rozstał się z *Germanicum* ze łzami w oczach.

Pomijam uroczystości powinszowań, którym z ciężkim sercem musiał się poddać nowy kardynał. Piętnastego kwietnia przeniósł się do kolegium Południowo-amerykańskiego, które się mieści w dawnym nowicjacie Towarzystwa Jezusowego.

Żywot jego jako kardynała można streścić w kilku słowach. Zapalony zawsze do pracy i niezmordowany w niej, nie oszczędzał się teraz zupełnie; posłuszeństwo już mu w tym nie przeszkadzało. W ciągu 10-ciu lat swego kardynałstwa, wyjechał tylko trzy razy i to na krótko na świeże powietrze, a i na zwykłej rekreacji poobiedniej ukazywał się tylko 3 razy do roku, w największe święta. Pracował ciężko od rana do nocy, albowiem sześć kongregacyj, których był członkiem, dawały mu dosyć do czynienia, a wszystkie akta, jakie tylko przechodziły przez jego ręce, czytał zawsze z największą sumiennością, roztrząsał wszystkie kwestie aż do najdrobniejszych szczegółów i pisał wszystko własnoręcznie, by nie narazić na szwank spraw sekretnych. Obok tych zajęć śledził bacznie bieg wypadków codziennych, aby mógł w razie potrzeby złożyć Stolicy św. dokładny i wiarogodny raport. Co tylko miało jakąkolwiek styczność ze sprawami Kościoła, to pociągało całą jego uwagę. I tak np. biskupi irlandzcy, którzy przybyli do Rzymu w celu naradzenia się ze Stolicą św. o sprawach swych diecezyj, opowiadali, jak byli bardzo zdziwieni widząc, że kardynał Franzelin zna lepiej od nich stosunki ich kraju.

Z niesłychaną tą pracowitością umiał łączyć nadzwyczajną pobożność. Ranne godziny były poświęcone modlitwie – wstawał regularnie o godz. 4-tej i aż do wpół do szóstej odprawiał rozmyślanie, następnie szedł (co dzień) do spowiedzi; o 6-ej odprawiał Mszę św. – po czym słuchał jeszcze drugiej, w czasie której odprawiał dziękczynienie po swojej. Rachunek sumienia szczegółowy św. Ignacego czynił codziennie na piśmie, aż do wigilii śmierci. Nigdy nie usuwał się od wspólnych nabożeństw domowych. Jak sobie cenił modlitwę, o tym dowiedział się w niemiły sposób jego służący. Był to stary człowiek, który już 34 lata służył dwom innym kardynałom. Był on ulubieńcem

Franzelina, gdyż stanowił żywy kalendarz wszystkich czynności przywiązanych do godności kardynalskiej, a zarazem udzielał swemu panu dokładnych wskazówek, co i jak miał czynić. Lecz pomimo tego powiedział mu raz kardynał: "Angelo, nie mogę cię dłużej trzymać". – "A to dlaczego Eminencjo?" – "Dlatego że nie jesteś dobrym chrześcijaninem". – "Eminencjo! słucham Mszy św., odmawiam Różaniec, spowiadam się co miesiąc, odmawiam różne modlitwy rano i wieczór. I cóżem zawinił Eminencjo?!". – "Nie chodzisz na wspólne modlitwy ze służbą kolegialną". "Eminencjo, od dzisiejszego dnia będę chodził najregularniej". I w samej rzeczy Angelo dotrzymał postanowienia i odzyskał całkowicie dawną łaskę pana.

Owe wyrzeczenie się, jakie uczynił w nowicjacie, było i teraz jego dewizą. Jadał zwykle osobno w swoim pokoju, lecz ponieważ wracał często dopiero o 2-giej godzinie z Watykanu lub z posiedzeń Kongregacji – to dostawały mu się tylko resztki pozostałe od ogólnego stołu; a nie pozwolił nigdy, by mu przyrządzono coś lepszego; podczas obiadu musiał mu zawsze który brat czytać jaki żywot jednego z braci swych zakonnych (przez O. Patrignani). Przy tym jadł tyle tylko, ile było niezbędnym do utrzymania życia; pościł ściśle i często, spełniając w czasie postu inne jeszcze uczynki pokutne. Życie umartwione, jakie dotychczas prowadził, stało się teraz jeszcze surowszym. W ubóstwie, jako kardynał tak postąpił, że ubiór jego stanowiła nie tylko najprostsza, ale bardzo licha i wytarta sutanna, i gdyby nie spowiednik, co go zmusił, by sobie sprawił porządniejsze ubranie, byłby w owej zniszczonej rewerendzie i dalej chodził na posiedzenia kardynałów. Bieliznę miał tak ubogą i lichą, iż ów Angelo powiedział mu pewnego razu, że jego chustki do nosa nie zdałyby się nawet do czyszczenia lamp. Stary, podarty a gruby, bo w jednym tomie brewiarz był mu tak drogi, że w żaden sposób nie chciał się go pozbyć. Ofiarował mu wprawdzie ktoś inny nowszy i piękniejszy, lecz po jego śmierci znaleziono go nietkniętym. Gdy mu urządzano mieszkanie, wyłożono wszystkie pokoje dywanami; lecz gdy będąc raz u kardynała Bilio zobaczył, że i bez dywanów można być kardynałem – darował wszystkie swoje do kaplicy Matki Boskiej, a sobie sprawił zwykle rogózki, jakie widział u kard. Bilio.

Nie chciwość to, ani skąpstwo pobudzało go do tych oszczędności, lecz czynił to z zamiłowania ubóstwa, a cały jego dochód kardynalski szedł na rozmaite dobre uczynki. Przede wszystkim leżały mu na sercu misje katolickie, i przez 10 lat swego kardynalstwa, wydał na nie 28.600 lirów. Nie usuwał się też nigdy z pomocą w publicznych lub prywatnych klęskach. Zwykle w takich

czasach posyłał jałmużnę na ręce proboszczów, nie wymieniając swego nazwiska. Nadto wspomagał biedaków, cisnących się co dzień do jego drzwi.

Jak zaś kochał swój zakon i jego reguły – będąc już kardynałem, można sądzić z tego, że wiernie – o ile się tylko to dało pogodzić ze stanem kardynała – wypełniał wszystkie jego przepisy i zwyczaje; co miesiąc kazał sobie czytać przy stole reguły zakonne. Pewnego razu rzekł doń Ojciec św. Leon XIII, iż chciałby jeszcze jednego Jezuitę zrobić kardynałem, a mianowicie O. Mazzellę. Franzelin prosił J. Świątobliwość, by tego nie czynił, mówiąc, iż się to sprzeciwia ustawom zakonu. Na to odpowiedział Ojciec św., że ustawy zakonne nakazują szczególne posłuszeństwo papieżowi. Franzelin spuścił głowę i zamilkł. Nauka, modlitwa i ciągłe zaparcie siebie, oto treść życia Franzelina, jako kardynała – taka sama, jak kiedy był tylko prostym zakonnikiem.

Tymczasem życie jego było już na schyłku. Szóstego grudnia 1886 r. miało się odbyć posiedzenie Propagandy. Franzelin tymczasem wyglądał tak źle i cierpiąco, że brat infirmarz jako też wierny jego sługa, radzili mu, by nie chodził na to posiedzenie. Ale uważając to za zbyt cenne pieśczenie się, poszedł. Gdy wrócił, nie mógł już wejść na wschody, musiano nieść go na krześle; pomimo wielkiego osłabienia, załatwiał jeszcze zwykle swoje czynności, a na drugi dzień pojechał do Watykanu słuchać kazania. 8-go wezwano lekarza, a ten oświadczył wręcz kardynałowi, że już nie ma dlań ratunku, że przy wielkim szanowaniu się mógłby jeszcze przedłużyć gasnące życie. Lecz Franzelin nie umiał tego nigdy. Udał się zaraz na drugi dzień po tym oświadczeniu na posiedzenie kongregacji św. Officjum. Powróciwszy, upadł zupełnie na siłach, lecz siła woli podtrzymywała go jeszcze. Wieczorem odbył jeszcze spowiedź przed ojcem duchownym swego zakonu, ten zabronił mu mieć nazajutrz Mszę św. Ale nie było potrzeba zakazu, gdyż w nocy bardzo mu się pogorszyło. Przywołany lekarz powiedział, że zagraża paraliż płuc, i że już czas przyjąć ostatnie Sakramenty. Spokojnie i z wielką pobożnością gotował się chory do tej ostatniej w życiu pociechy religijnej. Gdy ks. rektor kolegium wszedł, niosąc Przenajświętszy Sakrament, zawołał kilkakroć: *O bone Jesu, o bone Jesu! Credo in Te, spero in Te, amo Te super omnia – super omnia!* – po czym odmówił Skład Apostolski i spowiedź powszechną – po przyjęciu św. Wiatyku powtarzał ciągle i z najgłębszym przejęciem: *O bone Jesu!* Wieczorem przyszedł posłany od Ojca św. Msgr. Marini, przynosząc mu jego błogosławieństwo i zapytał się, jak się ma. Kardynał odpowiedział: "Monsignorze, ściele się do stóp Jego Świątobliwości, za ten dowód Jego

dobroci dla mnie, całuję stopy Jego Świątobliwości" – po czym prosił Msgr. Mariniego, by Ojciec św. raczył wydać rozporządzenie co do rozmaitych aktów, jakie miał sobie powierzone. Gdy Monsinior odpowiedział, że będzie prosił o to natychmiast, gdyż Ojciec św. oczekuje wiadomości o jego zdrowiu, powtórzył kardynał raz jeszcze: całuję stopy Jego Świątobliwości i proszę także oświadczyć kardynałowi, sekretarzowi stanu, że nie będę mógł przyjść jutro na posiedzenie, po czym dziękował raz jeszcze Monsiniorowi, że się trudził do niego i powtarzając: Ścielę się do stóp J. Świątobliwości – pożegnał wysłannika Ojca św.

Noc upłynęła spokojnie – ale bezsennie, w ciągłej modlitwie, którą z cicha odmawiał – często też powtarzał głośniej słowa: *Gesu mio – misericordia*. Prosił brata, który go doglądał w chorobie, by wyszedł na chwilę z pokoju. Ten wyszedł, lecz usłyszawszy jakiś szelest, myślał, że się co stało, otworzył więc drzwi, chcąc wejść, lecz chory wołał: "Nie wchodzić, nie wchodzić". Wrócił się więc, ale już zobaczył, że chory nie leżał w łóżku, lecz klęczał na ziemi.

Rano zażądał raz jeszcze Komunii św., po której dano mu i ostatnie olejem św. namaszczenie. Rozrzewniające było pożegnanie jego z 90-cio letnim generałem zakonu, O. Piotrem Beckx, który przyszedł go odwiedzić, pomimo że sam był chory. "Ojcze generale – odpowiedział na zapytanie, jak się ma – bardzo źle ze mną, nie mogę mówić. O. generale, proszę Cię o przebaczenie za wszystkie moje grzechy, za wszystkie zgorzenia, jakich się dopuściłem w życiu zakonnym. *Deus propitius esto mihi peccatori*". O. generał pocieszał go mówiąc: *Deus propitius tibi erit et benignus*, – po czym chory powtórzył znów kilka razy *Jesu amo te* i modlił się po cichu.

Kardynał Mazzella, brat zakonny chorego kardynała, przyszedł go także odwiedzić i był przy nim do ostatniej chwili. Chory zapytał się go: "Jak się masz Eminencjo?". Kardynał odpowiedział: Mam się dobrze, ale jak się ty masz – na co Franzelin odpowiedział: "Polecam się miłosierdziu Najświętszego Serca Jezusowego".

Okolo 10-ej prosił O. Duchownego, by mu dał odpust na godzinę śmierci, jeżeli jest do tego usposobionym. O. Duchowny dodawał mu otuchy i udzielił żadanego odpustu, przy czym chory z wielkim nabożeństwem odmówił przepisane modlitwy.

Nie przestając się modlić, wtrącał często jako modlitwy strzeliste teksty z Pisma św. łacińskie lub niemieckie, w których był bardzo biegły. "Jezu mój, o

Jezu, kocham Cię nade wszystko". – Bądźcie we mnie, beze mnie nie możecie nic uczynić. – "Tak Panie, ale z łaską Twoją wszystko mogę". – "Wybrałeś mnie"... – Następnie odmówił Ojciec nasz i zakończył słowami: "żałuję – boli mnie to... Wierzę... *amo te super omnia, – super omnia*". Chciał też odmawiać z pamięciienne godziny kanoniczne, lecz pamięć go już zawiodła. Przyszedł też wielki penitencjariusz, kardynał Monaco della Valletta – a zarazem telefonem nadeszła wiadomość, że Ojciec św. przysłał mu swoje błogosławieństwo. Proszono kardynała by dał to błogosławieństwo w imieniu Ojca św., lecz dla łez nie mógł przemówić ani słowa, uczynił tylko znak krzyża świętego nad chorym i oddalił się w milczeniu. Siły ubywały widocznie, chociaż nie można było zauważyć właściwego konania. Ojcowie z kardynałem Mazzella i alumni Amerykańskiego kolegium, otaczający łóżko umierającego, zaczęli odmawiać modlitwy przy konających, wśród których zasnął Franzelin spokojnie – tak spokojnie, że nie spostrzeżono nawet gdy już nie żył. O 1-ej minut 22 przekonano się, że dusza jego już nie na ziemi, ale u Tego, który będzie dla niej "zapłatą zbytnie wielką".

Kardynał Mazzella uwiadomił Ojca św. o tym, czego był świadkiem, który kazał sobie dokładnie opowiadać ostatnie chwile Franzelina – po czym rzekł: "Czuję głęboko tę stratę. Podziwiałem zawsze naukę i roztropność nieboszczyka kardynała, przede wszystkim zaś głęboką jego pokorę. Przychodził do mnie jak dziecko ze swoimi skrupułami i obawami. Im więcej uniział się przede mną, tym więcej poważalem jego cnotę i świętobliwość".

Oto krótki rys życia kardynała Franzelina. Pokorne zaparcie się samego siebie, jest charakterystycznym rysem ziemskiej jego pielgrzymki. Był on zawsze wierny natchnieniu, które mu przyszło jeszcze w nowicjacie: "Dobra jest nauka, potrzebne talenta, ale od obojga lepszą jest cnota".



II.

W poprzednim artykule starałem się w krótkich rysach przedstawić ś. p. kardynała Franzelina takim, jakim go znałem w ciągu 9 letniego z nim przestawania i w późniejszych, jakie z nim miałem stosunkach. Obecnie pragnę również w krótkich zarysach przedstawić jego działalność i znaczenie na polu umiejętności teologicznej. Nie zamierzam bynajmniej podawać treści jego dzieł⁽¹⁾, również nie czuję się ani powołanym, ani zdolnym być ich sędzią; pozostawiam to godniejszemu ode mnie krytykowi: niech sąduje głębokość i obszar prac Franzelina, niech wykazuje z jednej strony ich doskonałość, a z drugiej wykrywa braki i błędy, od których żadne ludzkie dzieło nie jest wolne; ja przedsięwzięłem tylko wykazać niektóre właściwości i charakterystyczne cechy jego kierunku teologicznego, który tak się różni od wszystkich współczesnych, a pod wielu względami je przewyższa. Sądzę, że 30 lat ciągłego zajmowania się teologią w ogóle, a systemem Franzelina w szczególności, dają mi zupełną możność dobrze odpowiedzieć przedsięwziętemu zadaniu.

Uważam, iż właściwości te zawierają się w trzech punktach:

- 1) W sposobie traktowania nauki objawionej;
- 2) W systematycznym przedstawieniu tejże;
- 3) W genialnym pojmowaniu dogmatów.

Sposób traktowania teologii dogmatycznej może być trojaki: jednym doktorom chodzi o to, by ze źródeł Objawienia wyczerpać wszystkie, a przynajmniej względnie wszystkie prawdy wiary czyli dogmaty, i zarazem dowieść, że się one istotnie w tych źródłach zawierają, jednym słowem ustalić i stwierdzić depozyt wiary (*depositum fidei*). Tak czyni teologia pozytywna. Teologia spekulatywna przeciwnie, nie tyle stara się wykazywać co trzeba wierzyć, jak raczej usiłuje głębiej sięgnąć w rozumienie prawd wiary, i oznaczyć dokładnie ich myśl i znaczenie; a zarazem przedstawić wzajemny stosunek do siebie tychże prawd, zawisłości jednej od drugiej, i związek ich między sobą; usiłuje prawdy objawione porównywać z prawdami, które nie Objawienie, ale naturalne władze poznawcze nam podają; dalej wykazać jasno podobieństwa i różnice między dwoma tymi szeregami prawd; i nareszcie wyprowadzić stąd wnioski, czyli podać te prawdy, które choć same nie są objawione, ale z objawionych logicznie wynikają. Trzeci sposób

traktowania Objawienia jest tzw. teologia polemiczna. Ma ona za przedmiot obronę prawd wiary przed napaściami tych, co albo nie przyznają zupełnie Boskiego Objawienia, albo też prawdziwą myśl prawd objawionych przekręcają lub przekształcają.

Te trzy kierunki powinny by właściwie w nauce wiary iść równolegle i być współrzednymi, i tego też trzymali się tak Ojcowie Kościoła pierwszych wieków, jak i późniejsi doktorowie aż do naszych czasów. A mianowicie najprzód dowodzili oni prawdziwości, następnie roztrząsali znaczenie dogmatów, a w końcu rozwiązywali nasuwające się wątpliwości. Skądinąd, rzecz prosta, że w niektórych czasach i przez niektórych autorów jeden sposób wydatniej był uprawiany, niż drugi. Łatwo się o tym przekonać, przeglądając choć pobieżnie literaturę teologiczną ostatnich kilku stuleci. Scholastycy wieków średnich zadowalają się po większej części dość krótkimi dowodami co do rzeczywistości Objawienia, ale za to większej pilności dokładają w zgłębianiu objawionych dogmatów. Po zjawieniu się protestantyzmu, znalazło się znów mnóstwo teologów, którzy głównie mieli na celu polemikę przeciw nowej błędnej nauce. W nowszych czasach teologia pozytywna wzięła przewagę, może nawet ze szkodą kierunku spekulatywnego, czyli zgłębiającego dogmaty. Charakterystycznym w wykładach Franzelina jest: że on żadnemu z tych trzech sposobów nie dawał pierwszeństwa, lecz wszystkie łączył z sobą w właściwym stosunku. Taki sąd o Franzelinie wydał ś. p. kardynał Reisach, którego wysokie wykształcenie i głęboka erudycja najzupełniej uzdalniały do poznania i ocenienia uczonych prac Franzelina. Powiada on mianowicie: "Franzelin umiał doskonale obadwa czynniki: afirmujący i badawczy we właściwym stosunku połączyć; bez uszczerbku pozytywności, głęboko wnika w istotę dogmatów" (2).

Franzelin nie rozumiał wcale teologii bez gruntownego i głębokiego badania; według niego samo tylko konstatające zestawienie prawd wiary prawie nie zasługiwałoby na nazwę nauki wiary. Aby więc tę nazwę usprawiedliwić, nie może teologia poprzestawać na prostym tylko zsumowaniu prawd wiary i na wykazaniu, iż się w Piśmie św. i nieprzerwanej tradycji Kościoła zawierają; powinna ona nadto zbadać głębsze ich znaczenie, określić dokładnie ich ścisły związek między sobą i wzajemną zawisłość, a przez to ukazać gmach wiary w całej jego harmonijnej i organicznej piękności. Jest to plan wykładu, który Franzelin sam sobie zakreślił (3) i który z niezmienną konsekwencją wykonywał.

Zakres, jaki Franzelin każdemu z tych kierunków nadawał, nie wpływa bynajmniej z indywidualnego jego upodobania w jednym albo w drugim, lecz wynika z natury rzeczy, tj. z wymagania samych pojedynczych prawd wiary. Gdy idzie o dowiedzenie samego faktu objawienia jakiejś pojedynczej prawdy, bądź to że skutek poprzednich herezyj został w wątpliwość podany, bądź że w nowszych czasach go zaciemniono, wtedy kierunek pozytywny w całej pełni wychodzi u Franzelina na scenę, z całym aparatem dowodów, z niezwykłą dialektyką i krytyczną przenikliwością; wtedy Franzelin przemienia się w teologa pozytywnego, posiadającego niezwykłą znajomość całej literatury i wiedzy teologicznej, tak dawnych jak i nowych czasów, który pisma Ojców Kościoła i teologów nie tylko sam czytał, lecz też autentyczność ich krytycznie zbadał, a treść na wszystkie strony roztrząsał. Jakież to np. bogactwo erudycji zawiera się w dowodzie, że Chrystus jest Bogiem, albo, że tradycja Kościoła jest jednym ze źródeł wiary!

Gdy znów chodzi o głębsze zrozumienie jakiejś prawdy objawionej, z powodu że ją nie zawsze właściwie przedstawiano, gdyż zdania o niej są podzielone nawet w obrębie katolickiej nauki, a stąd pewne wątpliwości zaciemniają jej pojmowanie – wtenczas Franzelin znajduje się przede wszystkim w swoim żywiole: wspaniałą swoją spekulacją zapuszcza się w dogmatyczne głębiny, najważniejsze pojęcia wyjaśnia z nadzwyczajną bystrością i stanowczością nie tracąc z oczu ich wzajemnego stosunku i związku z sobą, a to wszystko tak gruntownie, a zarazem krótko i jędrnie, jak żaden może inny autor. Traktat *de Deo Uno secundum naturam* jest najwspanialszym i jedynym w swoim rodzaju metafizycznym studium; również wysoką spekulatywnością odznaczają się kwestie o hipostatycznej jedności dwóch natur w Chrystusie Panu, o dzielności Sakramentów, o obecności Chrystusa Pana w Przenajświętszym Sakramencie, o istocie Mszy św. itd.

Co się tyczy polemiki teologicznej to Franzelin nigdy nie był polemizatorem z profesji; gdy jednak zachodzi tego potrzeba, potrafi i w tym rodzaju być prawdziwie znakomitym. Nie polemizuje on nigdy dlatego, aby utrzymać swoje zdanie, lecz jedynie, aby wyjaśnić katolicką prawdę, utrzymać jej prawdziwe znaczenie, lub dowieść faktu jej istnienia. Robiono mu niekiedy zarzut, że walczy przeciw nieprzyjaciółom, których już dawno nie ma jak np. przeciw Nestoriuszowi, "przeciw któremu podjął tak zaciętą walkę i tym sposobem zmarnował tyle siły i zapału godnych lepszej i ważniejszej sprawy". Lecz jeśli wglądniemy w treść tez o Nestoriuszu, a nie zadowolimy się samymi

ich tytułami, to łatwo zrozumiemy, że Franzelinowi nie o to bynajmniej chodziło, aby Nestoriusza zbijać, ale żeby na tle heretyckiej nauki Nestoriusza przedstawić w całej prawdzie naukę katolicką. Niekiedy znów nadaje swojemu wykładowi tylko pewien koloryt polemiczny. W każdym bowiem twierdzeniu dogmatycznym trzeba przede wszystkim odeprzeć przeciwny mu fałsz; dlatego to w samym wyjaśnieniu katolickiej doktryny podnosi Franzelin ze szczególnym naciskiem i starannością punkty potrzebne do zbicia błędnej nauki przeciwnej. Tak np. w traktacie o Wcieleniu Słowa (*de Verbo Incarnato*) owo badanie trzech pojęć: istoty, natury i osoby, które by się mogło zdawać zbyt rozwlekłym, ma na celu zwalczenie błędnej nauki filozoficzno-teologicznej szkoły nowszych czasów, która przypuszczając dwie osoby w Chrystusie Panu, łączy je tylko w dynamiczną jedność.

Zwyczajnie polemika zajmuje u Franzelina bardzo skromne miejsce – na końcu tezy. Tam bowiem wyprowadzając odpowiednie wnioski z dowiedzionego twierdzenia, i wymieniając przeciwne im błędy dogmatyczne, tym samym zbija je dostatecznie.

Polemika w ogólności nie jest głównym zadaniem Franzelina, i dlatego nigdy się do niej nie bierze, jeśli chodzi o jakieś tylko małe różnice w pojmowaniu rzeczy. Gdy jednak te różnice potrzebne są do wyjaśnienia i obrony prawdy, wtedy prowadzi on ją z wielką zręcznością dialektyczną, a nadto zarzuca przeciwnika takim mnóstwem dowodów, że ten, choćby był w największym zapale, nic nie może odpowiedzieć. – Tyle o wzajemnym stosunku i granicach owych trzech kierunków teologicznych, jakie znachodzimy w dziełach dogmatycznych Franzelina.

Aby jednak właściwości jego lepiej poznać, zastanówmy się bliżej, jak się wywiązuje ze swego potrójnego zadania.

O ile jest teologiem pozytywnym, ma obowiązek udowodnić prawdy wiary ze źródeł Objawienia. Źródłami tymi są: Pismo św. i słowo Boże przekazane nam przez nieprzerwaną tradycję Kościoła.

Jakże więc Franzelin używa Pisma św.? Trudno znaleźć teologa, któryby dzielniej i umiejętniej nim się posługiwał. Przywołując jakieś miejsce z Biblii, jako odrębny i bezpośredni dowód pewnej prawdy wiary, bynajmniej nie poprzestaje on na prostym zacytowaniu tegoż, ale zarazem odsłania w nim z niezrównaną przenikliwością całą ukrytą siłę ku dowiedzeniu prawdy, o którą chodzi, przekonywując jednocześnie rozum, iż prawda ta rzeczywiście w danym

tekście jest zawarta. Jakże np. nieprzepartą siłę wywiera on na umysł w dowodzeniu obecności Chrystusa Pana w Najświętszym Sakramencie z obietnicy tegoż u św. Jana w r. VI (4). Albo jak pięknie, i że tak powiem nadspodziewanie, z rozbioru słów, którymi Chrystus Pan ustanowił Najświętszy Sakrament, wyprowadza z jednej strony dowód stwierdzający rzeczywistą obecność i dogmat przeistoczenia, z drugiej zaś rzuca jasne światło na istotę bezkrwawej ofiary nowego Zakonu (5).

Znakomicie też tłumaczy tekst listu św. Pawła do Tymoteusza (I Tim. II, 1-6), z którego niezaprzeczenie wynika, że Bóg chce szczęścia w wszystkich ludzi; trudności zaś i zarzuty przeciwników jasno i dobitnie rozwiązuje (6). Równie godnym podziwienia jest wyjaśnienie słów Chrystusa Pana przywołującego Psalm 81 ("Jam rzekł: jesteście Bogowie") i dowodzącego zeń swego Bóstwa i współ-jedności z Ojcem a odpierającego napaści Faryzeuszów (7).

Pismo św. nie jest bynajmniej systematycznym wykładem wszystkich prawd wiary, i dlatego wiele z nich są tylko z lekka napomknięte, gdyż natchnieni od Boga pisarze ksiąg świętych wiedzieli, że nie same te księgi są jedynym źródłem prawdy objawionej, ale że jest drugie, niepisane źródło. Otóż umysł mający dość pokory, aby prócz prawd naturalnych uznawać i objawione, widzi te ostatnie w Piśmie św. zawarte, choć teksty samo przez się i w oderwaniu od całości uważane nie mają w sobie dokładnych tychże prawd określeń. Często jednak się zdarza, iż kilka tekstów razem wziętych, przez to, że się wzajemnie objaśniają i uzupełniają, wypowiadają jakąś prawdę dokładnie i całkowicie. Otóż Franzelin jest mistrzem w tym odgadywaniu całości z jej odłamów; w podobny zupełnie sposób jak uczony paleolog z kilku znalezionych kości z łatwością odgaduje, czy do tego, lub owego należały zwierzęcia. Cała pierwsza część traktatu o Wcieleniu (*de Verbo Incarnato*) jest taką pyszną tkaniną z słów Pisma św. wzajemnie się wspomagających, i roztaczających tym sposobem przed zdumionym umysłem czytelnika piękną całość Bożej prawdy (8). Mianowicie zbiera tu Franzelin w jedną całość wszystkie epitety, jakie Pismo św. Chrystusowi czyli Mesjaszowi nadaje, a z nich, pod jego dzielnym rozumowaniem, powstaje jedno orzeczenie: "Chrystus jest Bogiem i Synem Boga". Szczególnie zaś zwracają na siebie uwagę Franzelina dwa predykaty: *Syn Boży* i *Słowo (logos)*, które się dziwnie a tak harmonijnie dopełniają i składają na prawdziwe pojęcie o drugiej Osobie Trójcy Przenajświętszej (9).

Częstokroć posługuje się Franzelin dla udowodnienia prawdy nie tylko pojedynczymi tekstami Pisma św., lecz także całymi rozdziałami a nawet całymi listami, które doskonale i odpowiednio do swego celu objaśnia. Tak np. kapłaństwo Chrystusowe i Jego Ofiarę na krzyżu świetnie wywodzi z listu do Żydów (10). Z pierwszego rozdziału tegoż listu jak również z Ewangelii św. Jana, a szczególnie z jej początku, buduje znakomity dowód Bóstwa Chrystusa Pana (11). Dziewiąty rozdział listu do Rzymian najprzód wyjaśnia Franzelin za pomocą związku jego z całym listem, a następnie rozbiera dokładnie jego treść, a to wszystko w tym celu, aby dowieść, iż przeznaczenie, wskutek przewidzianych zasług (*praedestinatio post praevisa merita*) jest prawdą objawioną (12).

Na tych kilku próbkach pozytywnych dowodzeń z Pisma św. musimy poprzestać, gdyż szczupłość ram artykułu przeglądowego nie dozwala nam dłużej w tym względzie się rozwodzić. Jednego wszakże pominąć nie możemy tj. że dokładna, jaką Franzelin posiada znajomość języków: greckiego i wschodnich, w których Pismo św. w Kościele bywa czytane, daje mu szczególną możność i łatwość uwydatniania pewnych tekstów Pisma św., które tylko w oryginalnym języku, lub jakim starożytnym przekładzie posiadają owe ukryte perły prawdy Bożej, czyli prawdziwą myśl Pisma św. Bo jakże to często się zdarza, że jeden język nie może wyrazić tego, co drugiemu wypowiedzieć najłatwiej.

Mimo tej wysokiej umiejętności i erudycji co do Pisma św. nie traktuje go jednak bynajmniej Franzelin sucho. Owszem, znać wszędzie, iż jest względem niego przejęty dziecięcą prawdziwie pobożnością, zachwyca się jego pięknnością, a zarazem prostotą i głębią, i czuć, że te same uczucia chciałby przelać w czytelnika, a także otoczyć nimi prawdy, którym to Pismo Boże daje świadectwo.

Lecz, jakżeśmy powiedzieli wyżej, pozytywny teolog musi mieć wzgląd i na drugie źródło Bożego Objawienia, i z niego także swoje dowody prawdy naszej świętej wiary czerpać, tj. na tradycję Kościoła. Jakże więc Franzelin obchodzi się z tym źródłem?

Wszyscy jednozgodnie mu przyznają, że dowody z tradycji podaje z rzadką treściwością i obfitością. I nic dziwnego. Kto zna zasady, na jakich się kardynał Franzelin sam w traktacie o Podaniu (*de Traditione*) opiera, temu się to wyda zupełnie naturalnym. Nie samo bowiem Pismo św. jest jedynym, a choćby

tylko głównym skarbcem prawd wiary; jest nim zarówno i żywe nauczycielstwo. Nauczycielstwo to składa się z nieprzerwanego od czasów apostoelskich szeregu powoływanych na to stróżów skarbu wiary (*depositum fidei*), i stanowi zarazem założony przez Chrystusa urząd, który po wszystkie czasy ma prawdę objawioną w jej całej rozciągłości i w jedynie prawdziwym rozumieniu świata podawać. O każdej prawdzie, o której sądzymy, że ją Bóg objawił, u tego urzędu powinniśmy się dowiadywać. Na jego zapewnieniu sama nawet powaga czyli autentyczność Pisma św. się opiera. Tej to instytucji Boskiego posłannictwa i władzy nieomylnego nauczania w rzeczach wiary i obyczajów dowodzi Franzelin, a dowodzi opierając się jedynie na historii i rozumowaniu, tudzież na fakcie słów Chrystusa Pana i Jego Apostołów, dowodzi tak gruntownie i nieprzepracie, że i najzagorzalsi racjoniści, jeśliby tylko racjonalnymi być chcieli, zgodzić się z nim muszą (13). I tak, przez obszerne i znakomite badanie historyczne pierwszych wieków Kościoła wykazuje najprzód, jaką powagę miały zawsze faktyczne orzeczenia tej instytucji (14). Świadcami nad wszelkie podejrzenie wyższymi, którzy o tym autentycznym Magisterium świadczyli, są Ojcowie Kościoła, te jasne pochodnie przez Opatrzność, nad tymże Kościołem czuwająca, zapalone, aby rozszerzały i utrzymywały dobroczynne światło wiary. Pisma ich są niewzruszonymi pomnikami i świadectwami tego, w co Kościół począwszy od najpierwszych lat swego istnienia jako w Boskie prawdy wierzył. Jakże więc te świadectwa musiał Franzelin cenić i jak je znać (a jest ich w wydaniu Migne'a do 500 tomów *in folio*), aby je tak zużytkować. Sądzę, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że nie było i nie ma w naszym wieku drugiego teologa, któryby dowody z tradycji, (zwłaszcza gdy nie ma odpowiednich z Pisma św.) równie logicznie, konsekwentnie i przekonująco przeprowadzał jak Franzelin.

Pomimo że Franzelin, przytaczając cytaty z Ojców Kościoła, musiał się ograniczać do ram książek szkolnych, które by mogły służyć jako podręczniki do jego wykładów, to przecież występuje u niego bardzo często znaczna ich liczba. Jednak nie gromadzi on tekstów patrystycznych bez potrzeby, ale tylko tam, gdzie ważność rzeczy tego wymaga, lub gdy ciągłość i jednostajność nauki Ojców Kościoła została przez jakiego teologa zakwestionowaną i zaciemnioną. Wtenczas powołuje Franzelin nieraz i wszystkich Ojców, którzy o pewnym punkcie pisali, na świadków zamglonej prawdy; tak np. przytacza 40 Ojców i pisarzy Kościoła, aby udowodnić, że słowa św. Pawła: *qui est supra omnia Deus benedictus in saecula* (15), zawsze były w Kościele o Chrystusie Panu rozumiane (16).

Powierzchny rzut oka na dzieła Franzelina wystarcza, aby poznać z samych cudzysłowów ogromne bogactwo cytatów z Ojców Kościoła, które przywodzi dla udowodnienia, że Kościół uważał zawsze pewną jakąś naukę za prawdziwą, przez Boga objawioną. Co zaś w tym bogactwie najwięcej zadziwia, to że nie są to bynajmniej kompilacje i cytaty wzięte z drugiej ręki, lecz przez niego samego z pierwszego źródła tj. z autentycznych pism Ojców Kościoła zaczerpnięte i najstaranniej zbadane. Lecz nie tylko to materialne bogactwo świadectw Ojców Kościoła jest wielką zasługą Franzelina, większą daleko stanowi owo głębokie wniknięcie w myśl Ojców, owa roztropność, z jaką bada wszelkie okoliczności, w których te świadectwa Ojców były pisane, aby w ten sposób odkryć prawdziwe i właściwe ich znaczenie. Widzimy to przede wszystkim wtenczas, gdy który Ojciec Kościoła był przez współczesnych podejrzewany o zboczenie w pewnym punkcie wiary, lub o niewierność katolickim zasadom. Z jaką to np. czcią i gorliwością broni Franzelin Ojców Soboru Nicejskiego i ich następców od zarzutu niektórych protestantów, jakoby nie uznawali jedności liczebnej w trójosobowym Bogu (17). To znów bierze w obronę poprzedników tychże Ojców nicejskich przeciw podejrzaniu niektórych teologów mniemających, że ci Ojcowie wespół z różnością trzech osób i różność natur w Bóstwie uznawali (18). Podobnie dowodzi przeciw protestantom zgodności Ojców przednicejskich z późniejszymi. Protestanci bowiem zarzucają, iż przednicejscy Ojcowie udowadniali dogmat katolicki jedynie historycznymi świadectwami, tj. że tenże od Apostołów pochodzi; drudzy zaś czyli ponicejscy mieli się tylko na powagę swego urzędu nauczycielskiego w swoich dowodach powoływać (19). Z wielkim zapałem i szacunkiem odsłania Franzelin prawdziwą myśl tych Ojców i wykazuje, że była zupełnie prawowierną nawet tam, gdzie od powszechnej nauki Kościoła na pierwszy rzut oka zdawałaby się zbaczać. Tak samo, bardzo trudne miejsca Ojców Kościoła odnoszące się do tajemnicy Trójcy Świętej, nadzwyczaj stanowczo i jasno wyklada (20). Udowadnia, że mniemanie, jakoby niektórzy Ojcowie mieli pewne wątpliwości co do rzeczywistej obecności Chrystusa Pana w Przenajświętszym Sakramencie i co do przeistoczenia, są całkowicie nieuzasadnione (21); rozwiązuje czerpane z Ojców tak pozytywne jak negatywne trudności co do liczby siedmiu Sakramentów (22). A dowody jego tak wiele i tak jasnego rzucają światła, że każdy umysł, jeśli się tylko w uprzedzeniu nie zasklepia, musi się na nie zgodzić.

Zupełnie też inaczej niż wielu teologów korzysta Franzelin z cytat Ojców, mianowicie nie szablonowo i zawsze w ten sam sposób, ale

odpowiednio do specjalnych wymagań danej kwestii. I tak, jeśli chodzi o wykazanie powszechności jakiejś nauki, tak co do czasu, jak krajów, wtenczas przywodzi świadectwa Ojców w porządku chronologicznym (23). Innym razem wykazuje najprzód, że pewna nauka w późniejszym czasie była powszechną, a potem dopiero przedstawia, że i dawniejsze czasy tej samej nauki się trzymały, choć może nie z tą samą jasnością i dokładnością ją wykładano, a to znów dlatego, że wówczas jeszcze żadna przeciwna herezja wiernym owej prawdy nie wydzierała (24). To znów zbiera w pewne grupy wyrażenia, a raczej, że tak powiem, wyrocznie Ojców o jakiejś prawdzie i tym sposobem świadectwo całej kościelnej starożytności stawia przed oczy (25). W kwestii co do liczby Sakramentów wybornie posługuje się dowodem wziętym z przedawnienia (*argumentum praescriptionis*) (26); w innych kwestiach, jak np. o istnieniu Boga analizuje bardzo dokładnie naukę jednego lub kilku Ojców Kościoła, a następnie przytacza już w krótkości wielu innych Ojców, którzy to samo twierdzili (27).

Jeśli nauka Kościoła jest tak jasną, że nie zachodzą żadne szczególne trudności, albo jeśli dowód z Pisma św. jest tak oczywisty i pewny, że niepodobna doń nic z nauki Ojców dodać, albo jeśli pewna prawda sama w sobie nie jest pierwszorzędного znaczenia, wtenczas dając główny dowód z Pisma św. kilku tylko Ojców przytacza w tym celu, aby było widocznym, że prawda ta w Piśmie św. zawarta, zawsze w Kościele była uznawana (28).

Z tego wszystkiego widzimy, że Franzelin zadanie teologa pozytywnego spełnia z dokładnością, jaką w dziełach dla szkoły przeznaczonych rzadko można znaleźć. Wielkie mnóstwo dowodów, czyli materialne ich nagromadzenie, a zarazem niezmierna siła przekonywająca tychże wyprowadzona na jaw przez głębokie wniknięcie w ich treść, są charakterystycznymi rysami pozytywnego kierunku w teologii Franzelina.

Zapytajmy dalej, na czym polega właściwość spekulatywnego badania Franzelina?

Nie ma wątpliwości, że i w tym kierunku ogromne położył zasługi. Krótki nekrolog Franzelina umieszczony w *Literarischer Handweiser* (29) odnosi główną wartość prac Franzelina do pozytywnego jego kierunku, niemniej jednak i spekulatywną jego teologiczną działalność uwydatnia: "lecz i w teoretycznym kierunku okazał uczony Jezuita niemniejszą przenikliwość i głębokość umysłu, i stąd to umiał on wspaniałą piękność dogmatu przedstawiać nieraz w sposób porywający umysł i serce. Mógłby on w tym kierunku bez wątpienia jeszcze

więcej działać, gdyby mu nie przeszkadzała Wolffiniańska filozofia Storchenau'a, w której był wychowany i z której z wielką trudnością w późniejszym czasie musiał sobie torować drogę do filozofii i teologii spekulatywnej scholastycznej". Pochwała ta nie podejrzanego krytyka słusznie się Franzelinowi należy. Ale błędnym jest mniemanie, jakoby Wolffinianizm tak stanowczy wpływ mógł wyrzucić na cały jego naukowy kierunek. Kto zna historię filozofii i jej stan w drugiej połowie naszego wieku, ten łatwo zrozumie, że o kształceniu się Franzelina na podstawie filozofii Wolffiniańskiej nie może być i mowy. Zresztą dość jasno to się pokazuje z dzieł samego Franzelina; gdyby był wykształcony na tej filozofii, i dopiero z trudnością torował sobie drogę do katolickiej scholastyki, to musiałyby się przecież odzywać przynajmniej jakieś oddźwięki tego wykształcenia, a zwłaszcza w początkowych pracach; można by było w nich spostrzec jakiś przełom od Wolffinianizmu do scholastyki, musiałyby się zwłaszcza znajdować pewne filozoficzne zwroty i sposoby mówienia, które tylko za pomocą Wolffa lub ucznia jego Storchenau'a można by sobie wytłumaczyć. Tymczasem nic podobnego nigdzie nie spotykamy, wszędzie tylko widać doskonałą znajomość tak starej jak i nowej scholastyki.

Spekulatywność Franzelina jest przede wszystkim głęboko katolicka, i wcale się nie zbliża do kierunku racjonalistycznego, który tak jaskrawo występuje u niektórych teologów naszych czasów. Nie wnosi on do teologii gotowych już pojęć filozoficznych, aby podług nich dopiero modelować dogmaty. Ileż to szkód sprawił taki racjonalistyczny sposób postępowania w teologii! Franzelin urabia i czerpie pojęcia dogmatyczne na wzorach i ze źródeł samej wiary, analogiczne zaś do nich pojęcia rozumowe czyli filozoficzne uzupełnia i poprawia według danych z Objawienia wziętych, i tym sposobem po mistrzowsku wytwarza pojęcia pełne, odpowiadające obu porządkom, tak przyrodzonemu jak i nadprzyrodzonemu. Znakomitym wzorem pod tym względem jest jego badanie różnicy między pojęciem natury konkretnej a pojęciem osoby (30).

Także treść i znaczenie dogmatu bierze Franzelin jedynie z tychże źródeł Objawienia, tak że śmiało można powiedzieć, iż wszystkie promienie światła, jakie tak Pismo św. jak i rozumowania Ojców Kościoła nad prawdami wiary, na też prawdy rzucają, koncentruje on jakoby w ognisku soczewki na danym dogmacie, i wtenczas dopiero naukowe jego tłumaczenie podaje (31).

Prócz tej cechy znajdujemy w spekulatywności Franzelina inną jeszcze nie mniej wybitną – jest on niezmiernie głęboki i w równym stopniu wzniosły.

Głęboki, bo sięga, zdaje się, do samego dna prawdy. Przypatrzmy się tylko jego nauce o skuteczności Sakramentów tak starego jak i nowego Zakonu. Skuteczność tę wyprowadza Franzelin z istoty samych tych dwóch testamentów, a z istoty znów Sakramentu motywuje potrzebę wewnętrznej intencji w udzielającym (32).

Rzeczy bliskie sobie z powodu podobieństwa pojęć odróżnia i odgranicza wyraźnymi liniami, skąd nie tylko zrozumienie dogmatów staje się łatwym, ale i właściwe i ściśle ich wyrażanie możliwym. Dość jest przeczytać co mówi o przyczynie pierwszo- i drugorzędnej (*causa principalis et instrumentalis*), fizycznej i moralnej (*physica et moralis*), aby móc rozwiązać trudną kwestię o Sakramentach nowego zakonu jako źródłach łaski (33). Podobnie głębokie są rozprawy o istocie i skutkach piętna, jakie niektóre Sakramenty na duszy przyjmującego wyrażają (34).

Cały wykład o Eucharystii, czy to w znaczeniu Sakramentu, czy też Ofiary – jest jednym z najgłębszych studiów w dziedzinie teologii, wobec którego i najsubtelniejszy racjonalizm broń złożyć musi, mimo że jest to tajemnica tak bardzo dla rozumu niedościgła. Podstawy, na których Franzelin całe swoje wysokie rozumowanie opiera, są to najprostsze i najoczywistsze pewniki dialektyczne. Tak np. aby udowodnić rzeczywistość Przeistoczenia ze słów Chrystusowych, bierze Franzelin jako fundament prawdę wszystkim, którzy się logiki uczyli, dobrze znaną o supozycji terminów, i stosownie do tego rozróżnia w znaczeniu zaimka "to" (*hoc*) obiektywną jego supozycję; zaczem sens całego zdania jest: "przedmiot, który ja tu w ręku trzymam, a który był chlebem, i według swej zewnętrznej postaci jeszcze nim jest – jest moim Ciałem" (35). Również niezmiernie głęboki a przecież jasny jest wykład tej tajemnicy co do obecności Chrystusa Pana w każdej części postaci; jasny, mówię, mimo wszelkie trudności, jakie natura i zmysły przeciw tej prawdzie podnoszą (36). Głęboko też obmyślany jest znakomity wykład o ofierze, mianowicie gdy roztrząsa pytanie, co stanowi jej istotę, i jakie czynniki się składają na to pojęcie (37).

Za daleko by nas zaprowadziło dalsze przytaczanie wybitnych przykładów głębokości umysłu Franzelina. Czas już coś powiedzieć i o wspomnianej przez nas jego wzniosłości.

Wzniosłym niezawodnie należy nazwać badanie naukowe, które najwyższe prawdy w najwyższy też i najszlachetniejszy sposób traktuje, które tajemnic wiary nie zniża do poziomu ludzkiego myślenia, lecz przeciwnie, ludzkie pojęcia podnosi i zbliża do Bożych, i tym sposobem przedstawia umysłowi czytelnika całą tych tajemnic wspaniałość i doniosłość, o ile naturalnie, można tego dokazać pojęciami analogicznymi, gdyż innych tj. homologicznych o tych przedmiotach, w tym życiu mieć nie możemy. Wzniosłym dalej jest badanie, które ludzkie pojęcia oczyszcza od tak często połączonych z nimi ziemskich niedoskonałości, i w ten sposób czyni je sposobnymi, jeśli nie do wpatrywania się w Bóstwo, to przynajmniej do prawidłowego o Nim myślenia. Otóż tymi przymiotami w wysokim stopniu odznacza się spekulatywność Franzelina, czyli jest ona w całym znaczeniu wzniosłą. Wzniosłymi zwłaszcza są traktaty: "O Bogu Jednym" (*De Deo Uno*), "O Trójcy" (*De Deo trino*), "O Kościele" (*De Ecclesia*).

Z pierwszego z wymienionych traktatów, tezy: "o prawdzie, dobroci i piękności Boga", tudzież "o świetle chwały" (*de lumine gloriae*), "o obszarze i natężeniu widzenia błogosławionego" (*de extensione et intensione visionis beatificae*) odznaczają się szczególnie dziwną wzniosłością myśli i wyrażenia, nie tracąc przy tym nic na jasności i ścisłości naukowej.

W drugim traktacie, o tajemnicy Trójcy Przenajświętszej wznosi się Franzelin prawdziwie do niedościgłych dla zwykłych rozumów wysokości, i to często przy wykładzie pojęć, które u innych autorów zwykle bardzo jałowo bywają objaśniane. Takim jest np. tak zwana *circuminsessio* czyli wzajemne przemieszkiwanie w sobie osób Trójcy Przenajświętszej (*perichoresis*). Lub jakże wzniosłe godzi on zupełną równość tychże Osób między sobą z ich rzeczywistymi względem siebie różnościami. Na szczególną też pochwałę zasługuje roztrząśnienie kwestii pochodzenia (*processio*) w tejże samej tajemnicy Trójcy Przenajświętszej, mianowicie dlaczego druga Osoba rodzi się z pierwszej jako Syn, a trzecia od pierwszej i drugiej pochodzi jako Duch Święty.

Co tylko stara scholastyka miała w sobie wzniosłego, to wszystko znajdujemy u Franzelina zebrane i najumiejtniej obrobione.

Na wyższą jeszcze, jeśli podobna, wzniosłość zdobywa się Franzelin w traktacie "o Kościele Chrystusowym" (*de Ecclesia Christi*), w którym omawia stosunek Chrystusa do Jego św. Kościoła tj. przedstawia Go jako Oblubieńca i duchowną głowę tej społeczności, którą On jako swoje mistyczne ciało przenika i napełnia nadnaturalnym swym życiem, i nawzajem Kościół znajduje w Chrystusie swój nieskończenie wzniosły pierwowzór tak co do swej istoty i egzystencji, swego życia i działalności na ziemi, jako też i swego przyszłego uwielbienia w niebie.

Do tej głębokości i wzniosłości dołączyć wypada trzeci rys charakterystyczny dzieł Franzelina, tj. jego szczerą pobożność, która tak mile przejmuje umysł i serce czytelnika. Przy całej ścisłości i surowości dialektycznej nie wpada on bynajmniej w pedanterię; choć jest nadzwyczaj dokładnym w definicjach teologicznych pojęć, nie męczy jednak drobnostkowością. Mimo niezmiernej erudycji i głębokiej metafizyki nie można w nim dostrzec żadnej chęci popisania się lub olśnienia czytelnika; styl jego nosi tylko cechę głębokiej czci i dziecięcej pobożności względem wielkich tajemnic wiary. Wszędzie znać gorące pragnienie, aby piękność Boskich prawd zachwycała umysły i zapaliła serca wiernych. Wszystko u niego jest przesiąknięte miłym, pokornym i bezwarunkowym poddaniem się pod nauczycielską powagę Kościoła. Najsilniejsze subiektywne przekonanie i pewność o prawdach wiary tak widocznie nieraz występuje, że nie tylko rozum zniewala do poddania się prawdzie, ale i serce napełnia radością z widoku piękności prawdy. Toteż teologia Franzelina zarówno się odznacza wielką wartością etyczną jak i gruntownością naukową. To co pewien recenzent (38) powiedział o ostatnim dziele Franzelina *de Ecclesia*, śmiało można zastosować do wszystkich jego traktatów. "U Franzelina na gruntownym pozytywnym fundamencie opiera się głęboki spekulatywny pogląd i szerokie pojmowanie roztrząsanego, wzniosłego przedmiotu. Maluje on nam Oblubienicę Chrystusową w całym blasku jej nadprzyrodzonej piękności, biorąc za tło do tego obrazu wykształconą wiarę i nadając mu natchniony i pełen namaszczenia koloryt. Tak pomyślany i wykonany traktat teologiczny mógł być tylko owocem długoletnich studiów, połączonych z głęboko religijną kontemplacją. Oby czytanie i odczytywanie tego arcydzieła stało się dla całej następnej generacji lewitów źródłem tej żywej miłości i powolności Kościołowi, jakiej tak znakomite przykłady daje nam w całym swym życiu, w całej działalności, a zwłaszcza w tym swoim pośmiertnym dziele, wielki teolog i świętobliwy kardynał".

Co się tyczy drugiego punktu, w którym okazują się właściwości Franzelina tj. systematycznego przedstawiania nauki wiary, to ta odrębna jego cecha objawia się w dwóch szczególnie względach. Najprzód w ściśle systematycznym ugrupowaniu nagromadzonego materiału, czyli twierdzeń, które w każdym traktacie mają być dowiedzione. Nicią przewodnią tych traktatów są zawsze dla Franzelina zasadnicze dogmaty danej części teologii, czyli raczej badanie ich prawdziwego, tj. katolickiego znaczenia i rozumienia. Używa on wszędzie metody syntetycznej: z pojęć ogólnych przechodzi do szczegółów, łączy w jedno pojedyncze błyski prawdy tak, że ta w końcu, rozwinięta, harmonijnie uporządkowana i w piękną całość zlana, przedstawia się oczom czytelnika jako umiejętnie zbudowana i wspaniale ozdobiona świątynia wiary.

Ażeby na innym jeszcze obrazie system Franzelina uprzytomnić: przedstawmy sobie potężny pień drzewa wiary, to kwestia tytułowa traktatu; wyrastające z niego konary – to główne jego podziały; dalej na konarach gałęzie, a na tych liście – to pojedyncze twierdzenia ze swymi dowodami i wnioskami, które wspaniałą całość w jej piękności ukazują. Bardzo wydatny przykład takiej struktury daje nam traktat "o Wcieleniu" (*de Verbo Incarnato*). Historyczna osoba Chrystusa Pana przedstawia się tu jak główny pień drzewa – kwestia: Co jest Chrystus? – i odpowiedź na nią: prawdziwy Bóg i prawdziwy Syn Boga – to pierwszorzędna odrośl. Ażeby tej prawdy dowieść, zaczyna Franzelin od najczęstszych orzeczeń Pisma św. o tymże Chrystusie: przewyższa On doskonałością i zacnością wszystkie stworzenia nieba i ziemi; własnym Mu jest imię, które nigdy żadnej stworzonej istocie od Ducha Bożego nadanym nie było. Dalej, idąc do szczegółów okazuje, że wszystkie Boskie przymioty Pismo św. temu Człowiekowi przypisuje, aż w końcu dowodzi, że w Nim jest i prawdziwa natura Boska. Zagłębiając się jeszcze więcej w szczegóły, wykazuje nareszcie, czym jednak Chrystus jako Syn Boży różni się od Boga Ojca. Następnie występuje drugi konar dogmatu Wcielenia tj. człowieczeństwo Chrystusowe, którego gałęziami: prawdziwość ludzkiego ciała Zbawiciela, prawdziwa i rozumna dusza, a w końcu prawdziwie ludzkie tj. z rodu Adamowego pochodzenie. Nowy punkt wiary a zarazem trzeci konar na tym drzewie stanowi tajemnica zjednoczenia dwóch natur w jednym ludzkim indywiduum Chrystusa. Tę jedność fizyczną dwóch tak różnych natur coraz bardziej wyjaśnia, a wynikające stąd nieodzowne następstwa ze swymi dowodami stanowią osobne gałęzie tego konaru. Inne większe lub mniejsze rozgałęzienia są to dysertacje: o podwójnej woli Chrystusa Pana, i wynikającej

stąd podwójnej Jego działalności; Jego świętość i bezgrzeszność; wiedza i mądrość; Jego wolność nawet co do podjęcia lub niepodjęcia śmierci za zbawienie świata, nareszcie o właściwym i należnym Chrystusowi kulcie. A na wszystkich tych gałązkach wyrasta mnóstwo określeń, prawd, wniosków, które jak kwiaty, owoce i liście stanowią gęstą koronę tego konaru. W ten sam sposób, idąc od ogólnych zarysów do szczegółów, oddziela się i czwarty konar, którym jest: "Chrystus pośrednik między Bogiem i ludźmi" (*Mediator inter Deum et homines*). A więc najprzód rozwija się ogólne pojęcie pośrednika, z którego wypływa już więcej określona nauka: jak nam Chrystus zbawienie wyjednał; w jak doskonały sposób, jak heroicznym czynem, i dlaczego ten czyn tak wielką ma wartość? Jednym słowem metoda Franzelina jest tak ściśle syntetyczną, że niepodobna zrozumieć waloru tez następnych, jeśli się nie przestudiowało poprzednich. Myśli idą jedna za drugą, powiązane ścisłą logiczną konsekwencją, jak cegły cementem, aż do ostatniej, która jak zwornik sklepienia zamyka skończoną i silną całość wiecznotrwałej a pięknej budowy.

Innym charakterystycznym elementem metody Franzelina jest forma tez, czyli ich enuncjacje i rozwinięcie. Zawierają one w sobie cały materiał, który ma być obrobionym. Wskazują jasno i zwięźle w co należy wierzyć, i jak trzeba to w co się wierzy rozumieć; tak dalece, że tezy, chociaż same w sobie krótkie, stanowią przecież jasne i dobitne wyznaczenie wiary, w którym nie ma ani jednego nieuzasadnionego słowa. Każda teza jest dla siebie skończoną całością, osobnym i szczególnie ważnym artykułem wiary, w pozytywnym lub spekulatywnym zakresie. Rzeczy mniejszej wagi są również wciągnięte w tezę, ale w właściwym podporządkowaniu, tj. służą albo jako środek pomocniczy w dowodzeniu, albo jako ilustracja i ozdoba, albo nareszcie jako wniosek rozszerzający pojęcie dogmatu. Dowody przeprowadza wprawdzie Franzelin z żelazną prawdziwie ścisłością logiczną, nie krępuje się jednak twardą formą sylogizmu i scholastycznych formułek. Jeśli się trafiają jakie zarzuty lub trudności – starannie je rozbiera i rozwiązuje, albo wprost albo pośrednio (*indirecte*). Jeśli są większej doniosłości, obrabia je w osobnych tezach, mniej ważne rozstrzyga w samym dowodzeniu, a to w ten sposób, że albo natychmiast obala ich podstawy, albo też odsyła na koniec tezy do tzw. scholiów czyli uwag szkolnych, gdzie je bada i odpiera.

Ze sposobu w jaki Franzelin stawia oddzielne tezy, z tego jak je urządza i porządkuje ich treść, widać, że jest to badacz samodzielny zupełnie panujący nad swoim przedmiotem; mający własny pogląd, oparty na samodzielnym

zbadaniu źródeł. Pokazuje się nadto, jak on szanuje swoich poprzedników, katolickich badaczy tegoż Objawienia, jak ich wywody umie przedstawić w prawdziwym i najlepszym świetle. Wreszcie na każdym kroku widnieje także wielka znajomość przeciwników i ich broni, głębokie wniknięcie w istotę i cały system ich błędów, którymi skazić i wykrzywić się starają czystą Chrystusową naukę.

Trzecim punktem charakterystyki dzieł Franzelina jest, jakieśmy to na początku wspomnieli, jego genialność w pojmowaniu i przedstawianiu prawd objawionych.

Prawdziwy geniusz nie kroczy bezmyślnie po raz wydeptanych ścieżkach swych poprzedników lub współczesnych, on szuka dróg nowych, nie dając się jednak unosić fantazji poza granice ścisłej logiki na manowce zarozumiałego dziwactwa. Geniusz jest zawsze oryginalnym, ale nigdy oryginałem. Takim też jest Franzelin we wszystkich swoich dziełach teologicznych. Miał on sobie za chlubę, iż nie uczył nic nowego, głośno zapewniał na swoich wykładach, że o to się tylko stara, ażeby to co 19-sto wiekowa przeszłość Kościoła powszechnego o wierze uczyła, swym uczniom mógł przekazać. Ale jakkolwiek to usiłowanie w jego pracach zupełnie i całkowicie się iści, – to przecież mimo jego wiedzy, stara katolicka prawda pod jego piórem w całkiem nowej występuje szacie. Jego metoda nie ustępuje żadnej z dawnych, a niejedne z nich przewyższa. Jak wysokie miał on pojęcie o zadaniu teologa-dogmatyka, sam to nam ukazuje w ulubionym przez się i często cytowanym wyrzeczeniu św. Wincentego Liryneńskiego: "O Tymoteuszu! o kapłanie! o badaczu! o nauczycielu! jeśli masz z daru Bożego odpowiednie zdolności, doświadczenie, naukę, to bądź Bezelelem duchownego przybytku Pańskiego, rzeźbij drogie kamienie Boskich dogmatów, wiernie je oprawiaj, ozdabiaj umiejętnie, dodawaj im blasku, wdzięku i krasy. Niech z twego wykładu jasno będzie rozumiane, co przed tobą niewyraźnie było wierzone. Przez cię, niech potomność ma pociechę, że pojmuje to, co przeszłość tylko czciła. Tego tylko jednak ucz, czegoś się sam nauczył, aby to, co mówisz, wypowiedziane było w nowy sposób, a nie było czymś nowym" (39).

Znakomity filozof hiszpański Balmes opisuje geniusz w następujący sposób (40): "Ludzie prawdziwie genialni odznaczają się od innych harmonijnością i rozległością swych pojęć. Gdy pracują nad jaką trudną i zawiłą kwestią, upraszczają i wyrównywają takową, stawiając się na

wysokim bardzo punkcie widzenia, i nie tracąc z oczu idei zasadniczej i przewodniej, która im wszystko rozświeca; gdy zbijają jaki zarzut, to przenikają do początku błędu, i kilku słowami rozpraszają tuman sofizmu; gdy używają syntezy, chwytają od razu główną zasadę, która jest punktem wyjścia, i zakreślają krótko a jasno sposób postępowania; gdy coś analizują, to oznaczają dokładnie punkt, w którym należy szukać rozwiązania, poznają ukryte zależności, odkrywają za jednym razem tajemnicę przedmiotu i ukazują jego najskrytsze wnętrze".

Jeśli Balmesowi przyznajemy słuszność w tym opisie, to także musimy przyznać, że i Franzelin w swych teologicznych rozprawach jest niezwykłym geniuszem, gdyż wszystkie te przymioty w nich znajdujemy. Wszyscy, co gruntowniej i lepiej znają jego dzieła, choćby skądinąd byli jego przeciwnikami, muszą przyznać, że genialnym jest umysł, który przenikając głębiny wiedzy, jasno i z pewnością siebie pojmuje i przedstawia przedmiot, umysł który niczego nie pomija, każdą ciemność rozświeca, a zawsze i wszędzie w jądro rzeczy trafia.

Geniusz Franzelina okazuje się jeszcze i z tego, że najdokładniejsze odczytanie w całej tak obszernej katolickiej literaturze przeszłości, nie przeszkadza mu bynajmniej być całkowicie samodzielny i niezawisły.

O ścisłej harmonijności i zgodności z sobą wszystkich prac Franzelina, jako też o szerokich niezmiernie jego poglądach, świadczą oczywiście wszystkie jego traktaty teologiczne. Tezy jego można porównać do dobrze obrobionych kamieni budowlanych, które podług planu budowniczego razem się łączą, i dobrze spojone, silną i piękną tworzą całość. Ramy jego traktatów są tak utracone, że żadna kwestia donioślejsza, albo przynajmniej pożyteczna dla ucznia, nie jest pominięta. Poznać to łatwo studiując dzieła wielkich teologów i porównując je następnie z dziełami Franzelina. Co tylko dla początkującego teologa może być potrzebnym, ważnym, albo pożytecznym, to wszystko znajdzie on u Franzelina, opracowane ani zbyt obszernie ani za krótko, ale stosownie do ważności samej kwestii o którą chodzi.

Również jasno występują w dziełach naszego autora wysokie punkty widzenia, z których na szerokie obszary swego materiału się zapatrując, w harmonijną jedność go układa, i jasnym światłem oblewa najtrudniejsze nawet kwestie. Kilka przykładów wystarczy na potwierdzenie tego zdania.

Co, i w jaki sposób sprawują Sakramenty, rozbiera Franzelin w właściwym traktacie *de Sacramentis in genere*. Aby tę kwestię rozwiązać, wstępuje na znacznie wyższe niż sam przedmiot stanowisko. Stawia sobie bowiem pytanie: jaki jest charakter całego nowego Zakonu, i w jakim stoi stosunku do Starego. Istotny charakter i istotna różnica dwóch tych testamentów wyjaśnia mu również istotny charakter i różnicę ich Sakramentów. Wszystkie wynikające stąd twierdzenia nie są czym innym, jak tylko następstwami logicznie wypływającymi z istoty nowego Przymierza w stosunku do Starego.

W traktacie "o Kościele" (*de Ecclesia*), aby nam prawdziwą istotę Kościoła przez Chrystusa założonego przedstawić, wznosi się również daleko wyżej, i bada istotę Kościoła Bożego w ogóle, o ile on jest powszechnym królestwem Bożym, do którego należą aniołowie i ludzie. Jedni i drudzy pod wspólną głową Chrystusem tworzą obcowanie świętych, obcowanie w tym życiu przez wiarę, a przyszłym przez widzenie błogosławione. Stąd wyszedłszy bada Franzelin, jak się to miasto Boże rozwijało w czasach przedchrystusowych, a jak następnie przez Chrystusa osiągnęło swą doskonałość na ziemi.

Jużeśmy wspomnieli że Franzelin jest mistrzem w rozwiązywaniu zarzutów, które przeciw prawdom wiary lub ich katolickiemu rozumieniu występują. Tu jednak musimy znów uczynić o tym wzmiankę jako o przykładzie jego genialności. Czy te zarzuty są wzięte z rozumu, czy też trudniejsze wyrażenia Ojców Kościoła dały do nich powód, zawsze trafia Franzelin od razu na źródło błędu. W zdaniach Ojców, bliżej nad tekstem się zastanawiając, z rozmaitych wskazówek dochodzi prawdziwej ich myśli, tak, że wszelka trudność znika, i wszelkie zarzuty stają się bezpodstawnymi.

O syntezie Franzelina jużeśmy wiele mówili w poprzednim punkcie. Co zaś do jego analizy dość będzie jednego przykładu, aby pokazać, że i w niej również był mistrzem. Jest to dysertacja o "akcie wiary". Analizując to pojęcie wykazuje wszystkie jego elementy i wszystkie własności, a nadto bada i dochodzi, jakie władze duszy są siedliskiem i czynnikami tego aktu.

Genialność więc w pojmowaniu i obrabianiu teologicznego materiału nie może być dziełem Franzelina, a zatem i jemu samemu odmówioną.

Niech te krótkie rysy życia i prac Franzelina, na których z powodu szczupłości miejsca musiałem się ograniczyć, dopomogą światłemu czytelnikowi, aby mógł właściwy charakter teologicznych wykładów Franzelina poznać, i nabrać przekonania, że nie są one czymś zwykłym na polu

teologicznej umiejętności, lecz że są dziełem niespożytej wartości, dziełem które nie przestanie wydawać trwałych owoców, bo i samo jest owocem ogromnej pracy, nieposzlakowanej sumienności i serdecznej miłości prawd Boskich.

Ks. Antoni Langer SI

Artykuł z "Przeglądu Powszechnego"; Tom XVIII (kwiecień, maj, czerwiec 1888), ss. 341-362; Tom XIX (lipiec, sierpień, wrzesień 1888), ss. 376-397. Kraków 1888. (a)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześiono).

Przypisy:

(1) Drukiem ogłoszone dzieła Franzelina są następujące: *De Deo trino secundum personas*. Editio tertia. Romae 1881 in 8°. – *De Verbo incarnato*. Editio tertia. Romae 1881 in 8°. – *De Deo uno secundum naturam*. Editio tertia ab auctore iterum emendata. Romae 1883 in 8°. – *De divina Traditione et Scriptura*. Editio tertia. Romae 1882 in 8°. – *De Sacramentis in genere*. Editio tertia. Romae 1878 in 8°. – *De SS. Eucharistiae Sacramento et Sacrificio*. Editio quarta. Romae 1887 in 8°. – *Examen doctrinae Macarii Bułgakow episcopi russi schismatici & Josephi Langen neoprotestantis bonnensis de processione Spiritus Sancti, Paralipomenon Tractatus de SS. Trinitate*. Romae 1876 in 8°. – *Theses de Ecclesia*.

(2) Arenhold, *Vorzüge der dogmatischen Traktate Franzelin*. Pag. 16. Fulda.

(3) Cf. *De Deo Uno*. Pag. 13. – *De Traditione, Prolegomenon*. Pag. 3.

(4) *De Eucharistia*, th. III.

(5) *Ibid.*, th. V, XI, XV.

(6) *De Deo Uno*, th. XLIX.

(7) *De Verbo Incarnato*, th. III. n. 1; cf. *De Trinitate*, th. III. n. 2.

(8) *De Verbo incarnato*, th. II-X.

(9) *De Trinitate*, th. XXXII.

(10) *De Verbo incarnato*, sect. 4.

(11) *Ibid.*, th. IV.

(12) *De Deo Uno*, th. LXV.

(13) *De divina Traditione*, th. II-VII.

(14) *Ibid.*, th. VIII-X.

(15) Rom. IX, 5.

- (16) *De Verbo Incarnato*, th. IX.
- (17) *De Trinitate*, th. IX.
- (18) Tamže, th. X.
- (19) *De Traditione*, th. X.
- (20) *De Trinitate*, th. XI.
- (21) *De Eucharistia*, th. VIII et XIV.
- (22) *De Sacramentis*, th. XIV et XX.
- (23) *De Eucharistia*, th. X.
- (24) *De charact. Sacram. de Sacr.*, th. XII. – *De Eucharistia*, th. XIV.
- (25) *De Sacrif. Eucharistiae*, th. IX.
- (26) *De Sacram. in genere*, th. XVIII.
- (27) *De Deo Uno*, th. VI.
- (28) Cf. *De Verbo Incarnato*, th. X, XII, XIV, XV.
- (29) Münster 1887, Nr. 11.
- (30) *Tract. de Verbo Incarnato*.
- (31) Cf. *Tract. de Sacram. in genere*.
- (32) Th. XVI, XVII.
- (33) *De Sacramentis*, th. II, IX, X i XI.
- (34) Th. XIII.
- (35) *De Eucharistia*, th. VI.
- (36) *De Eucharistia*, th. XI.
- (37) *De Sacr. fine* th. II.
- (38) Morgott. "Literarischer Handweiser" 1887. Nr. 12.
- (39) "O Timothee, o Sacerdos, o Tractator, o Doctor, si te divinum munus idoneum fecerit ingenio, exercitatione, doctrina, esto spiritualis tabernaculi Beseleel; pretiosas divini dogmatis gemmas exsculpe, fideliter coapta, adorna sapienter, adjice splendorem, gratiam, venustatem. Intelligatur te exponente illustrius, quod ante te obscurius credebatur. Per te posteritas intellectum gratuletur, quod ante vetustas non intellectum venerabatur. *Eadem tamen, quae didicisti, doce, ut cum dicas nove, non dicas nova*". *Commonitorium*. I. C. 22.
- (40) *Philosophie fundamentale*. Tom I, l. V, chap. IV.

(*) "*Quid jocarīs! Non est locus et tempus jocandi!*" = Czemu żartujesz! To nie miejsce i czas na żarty! (Przyp. red. *Ultra montes*).

(a) Por. 1) Ks. Antoni Langer SI, a) [Św. Tomasz z Akwinu i dzisiejsza filozofia](#). b) [Rozwój wiary](#). c) [Pojęcie o Bogu w chrześcijaństwie i u filozofów](#). d) [Kazanie o Kościele](#). e) [Kazanie na uroczystość Opatrzności Boskiej](#). f) [Kazanie na uroczystość św. Barbary](#).

2) Ks. Jan Rosiak SI, a) [Suarez. 1548 – 1617](#). b) [Wiara i "doświadczenie religijne"](#).

3) P. Christianus Pesch SI, [Compendium Theologiae dogmaticae](#).

4) Św. Wincenty z Lerynu, [Pamiętnik \(Commonitorium\). Rozprawa Pielgrzyma o starożytności i powszechności wiary katolickiej przeciw niezbożnym nowościom wszystkich kacerzy](#).

5) Bp Franciszek Lisowski, [Św. Tomasz z Akwinu o rozwoju dogmatów](#).

6) Ks. Jacek Tylka, a) [Dogmatyka katolicka](#). b) [Traktat o Kościele Chrystusowym](#). c) [O obojętności, czyli indyferentyzmie w rzeczach religii](#). d) [O własnościach religii](#). e) [O cnotach heroicznyc](#).

7) Ks. Maciej Sieniatycki, a) [Apologetyka czyli dogmatyka fundamentalna](#). b) [Zarys dogmatyki katolickiej](#). c) [Problem istnienia Boga](#). d) [System modernistów](#). e) [Modernistyczny Neokościół](#).

8) Ks. Jan Badeni SI, a) [Życie św. Ignacego Loyoli, założyciela zakonu Towarzystwa Jezusowego](#). b) [Filozof chrześcijański z II wieku, święty Justyn męczennik](#). c) [Św. Cyryl Biskup Aleksandryjski i walka o Bóstwo Chrystusowe w V wieku](#).

9) O. Gabriel Hevenesi SI, [Maksymy świętego Ignacego \(Scintillae Ignatianae sive S. Ignatii de Loyola Sententiae et effata sacra. Cum Appendice continente Sententias S. Philippi Nerii\)](#).

(Przyp. red. *Ultra montes*).



([HTM](#))

© *Ultra montes* (www.ultramontes.pl)

Cracovia MMXVI, Kraków 2016